Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA ROK NOWY.

ŁOWIEC rozpoczyna dziewiąty rok swego istnienia. Sądzimy, iż każdy z gorliwych jego czytelników przyzna, że w przeciągu owego dosyć długiego już czasu poruszone zostały w nim wszelkie sprawy tak większej jakoteż mniejszej wagi, dotyczące łowiectwa krajowego. Autorowie licznych artykułów większych rozmiarów usiłowali teoryę połączyć z praktyką, przelać wiedzę swoją i doświadczenia w ogół naszych myśliwych, obudzić żywą chęć rozmiłowania się w tym szlachetnym zawodzie, który niesłusznie dotąd uważano za błahą rozrywkę, nie przyczyniającą się wcale do rozmnożenia dobra publicznego. Pracami swemi postawili oni myśliwstwo nasze na stopie umiejętnej, wykazali dosadnie, że dawna praktyka łowiecka, nie oparta na gruntownej teoretycznej wiedzy, jest nie tylko niepożyteczną, ale nawet wprost szkodliwą, że obecnie wszelka bezmyślna czynność publiczna jest wykroczeniem przeciw usilnemu dążeniu do podniesienia i pomnożenia moralnego i materyalnego dobrobytu ogólnego. Do statystyki myśliwstwa krajowego pożytecznym przyczynkiem są drobne wiadomości myśliwskie, nadsyłane z wszystkich stron kraju naszego, jakoteż z prowincyi w skład dawnej Polski wchodzących. Rozszerza się zakres działania „Łowca“, ale też z czasem wyczerpuje się przedmiot, nie ma wszakże obawy, iżby go wreszcie zabrakło. Dowodem tego są pisma myśliwskie zagraniczne, które już dziesiątki lat swego istnienia liczą i zawsze silną objawiają żywotność. Niewyczerpanem źródłem badań i spostrzeżeń jest bogata nasza przyroda! Pismo nasze znajduje się w bardziej wyjątkowem jak każde inne położeniu, istnienie jego i rozwój polegają jedynie na dobrej woli protektorów i współpracowników, musi ono opierać swoje działanie na dostarczonych pracach i doniesieniach, bo tylko one mogą być świadectwem żywotności sprawy, podjętej w celu podniesienia dobra powszechnego na tem polu. Redakcyi jest obowiązkiem wiązać organicznie owe oderwane i różnorodne części całości i oddawać je na pożytek czytelników w formie ujmującej. Polecamy więc „Łowca“ życzliwej pamięci myśliwych i nie wątpimy, że jak dotąd silnego poparcia mu nie zabraknie.

Coraz dobitniej odzywają się w „Łowcu“ głosy domagające się: „Reformy ustawy łowieckiej“ i obsadzenia „katedry nauki łowieckiej w Szkole gospodarstwa lasowego we Lwowie“. Nawoływania te są słu-

szne i muszą ostatecznie być uwieńczone pomyślnym skutkiem. Już od dawna Walne Zebranie gal. Tow. łow. uchwaliło zająć się Reformą Ustawy łow., a Wydział jego oddał tę sprawę pod rozwagę dwóch swoich członków, którzy zapewne wkrótce przedłożą rezultaty swojej pracy.

Również postanowił Wydział zająć się gorliwie sprawą utworzenia katedry nauki łowiectwa. Obok gruntownej wiedzy, jaką daje Szkoła gospodarstwa lasowego lwowska uczniom swoim w zakresie leśnictwa, niezbędną jest potrzebą uzupełnić ją wyczerpującym wykładem nauki łowiectwa, albowiem dwa te działy ściśle są z sobą związane. Leśnik niemyśliwy nie przejmie się nigdy uczuciem zachwytu i uwielbienia dla przyrody, prawdziwem zamiłowaniem swego zawodu, nie będzie znał tajników natury, jej uroków i wspaniałych tworów. Nie lękajmy się, iżby łowiectwo oderwało leśnika od głównego celu jego powołania, owszem rozbudzi ono w nim siłę moralną i fizyczną, energię i gorący zapał do czynności swego zawodu. Wszakże Niemcy są wzorem dla leśników, a tam każdy z nich niemal jest wykształconym i wytrawnym łowcem i wiadomo nam, jakie tam las i zwierzyna dają świetne rezultaty. Sprawozdania ich wykazują, iż myśliwstwo stanowi nie małą cyfrę w dochodach ich właścicieli, a wiemy bardzo dobrze, że wszelkie działania ich nie dążą do przysporzenia sobie czczej przyjemności i rozrywki, lecz skierowane są zawsze ku — realnemu pożytkowi. Kłusownictwo, które dotąd jest istotną plagą naszego kraju, nie może być należycie stłumionem, jeżeli straż leśna i polowa, wyższa i niższa, nie będzie znała dokładnie swoich obowiązków pod względem łowiectwa, nie przejmie się dobrą wolą umiejętnego strzeżenia tej ważnej części dobra publicznego. Wtedy tylko stan zwierzyny podniesie się u nas bez uszczerbku dla gospodarstwa rolnego i lasowego do tak imponującej liczby, jaką widzimy w Czechach, Niemczech i gdzieindziej, i zajmie pokaźne miejsce w ekonomii krajowej. Nie będziemy mieli, dzielnych zresztą w swoim zawodzie leśników, którzy nie podejmując trudu zaradzenia małym szkodom, przez zwierzynę zrządzonym, radziby ją wytępić, nie bacząc na to, że las pozbawiliby tem bezwzględnem i bezmyślnem okrucieństwem najpowabniejszej ozdoby, uczyniliby w nim istną pustynię, w której leśnictwo gospodarowałoby zaprawdę automatycznie. Nie są to frazesy i sentymenta, jakie wypowiadamy, lecz znane i uznane axiomata i dadzą się wyrazić w koniecznym postulacie, że leśnik, jeśli ma pełnić swoje obowiązki należycie, powinien być przyrodnikiem i myśliwym. Kuratorya Szkoły lasowej ma najlepsze chęci obsadzenia tej tak pożądanej katedry, szuka kandydatów i dotąd ich nie znalazła. My ośmielilibyśmy się wskazać dwóch, ludzi wykształconych, młodych, pełnych zapału dla swego zawodu leśniczego, a zarazem umiłowania przyrody i jej tworów, badaczów jej tajników, zakrytych dla oka bezmyślnego, którzy niezawodnie chętnie ofiarowaliby zdobytą swoją wiedzę i najlepsze chęci dla dobra uczniów w dziedzinie leśnictwa, przyrodnictwa i łowiectwa. Miejmy nadzieję, że wkrótce Kuratorya i Dyrekcya Szkoły lasowej w porozumieniu z gal. Tow. łow. dotkliwemu temu brakowi skutecznie zaradzą.

Mimo usilnych trudów gal. Tow. łow., jego organu i delegatów, odzywają się dotąd niestety poważne głosy, że „Ustawy łowieckie istnieją dla nas tylko na papierze, że nie są one ściśle przestrzegane, a ci nawet dopuszczają się wykroczeń i nadużyć, którzyby powinni być w tym względzie wzorem i przykładem“. Może to twierdzenie jest nadto żółciowe i przesadne, wszelako wynika ono z przekonania, iż dotąd mimo dziesięcioletnich niemal zabiegów Tow. łow. i tylu gorliwych tej sprawy orędowników, nie zorganizowaliśmy łowiectwa, opartego na silnych i niewzruszonych podstawach, że złe, jakie przedtem istniało, lubo znacznie podcięte, jeszcze nie wykorzenione z gruntu, że nie możemy rozłączyć się z dawnemi przywyknieniami i zwyczajami, które nauka i racyonalna praktyka jako wsteczne i szkodliwe odtrąca, że nakoniec nie rozwinęliśmy w sobie jeszcze dosyć energii i poczucia poszanowania dla ustaw i przepisów przez naukę wskazanych, iżby nie tylko ściśle i bezwarunkowo je wykonywać, ale nadto z całą bezwzględnością strzedz ich poszanowania i przestrzegania. Nie możemy zaprzeczyć, iż wiele w tem zdaniu i przekonaniu prawdy i słuszności, a lubo stwierdzić musimy niemały w zakresie myśliwstwa postęp, to jednak nie przestajemy nawoływać do karności i uległego poddania się prawu i Władzom, jako jego stróżom, a to nie tylko w głównych zasadach, ale też w najsubtelniejszych tego prawa wymaganiach. Zyska na tem dobro powszechne, nasza osobista podniosłość, a co najważniejsze, ogólna moralność. Wtedy tylko dojdziemy do owych świetnych rezultatów w naszych dążeniach, jakich z gorącem pragnieniem wyglądamy.

Jakkolwiek z żalem wyznać musimy, że nastąpiła apatya w zasilaniu „Łowca“ szczególnie bieżącemi wiadomościami i sprawozdaniami z polowań, to jednak z prawdziwą przyjemnością możemy uwiadomić szan. czytelników, że w innym kierunku rozszerza się koło współpracowników „Łowca“. Przedewszystkiem winniśmy podnieść, iż zyskaliśmy współpracownictwo znakomitego w świecie naukowym, tak przyrodniczym jakoteż myśliwskim, Raula Dąbrowskiego, którego prace mają w literaturze niemieckiej pierwszorzędne znaczenie. Przyrzekł on zasilać pismo nasze swą naukową wiedzą i zdobyczą badań praktycznych. Wielce cenną pracę jego umieściliśmy w tegorocznym kalendarzu naszym. Niemniej pożądaną zapisać musimy ofiarność syna wyżej wy-

mienionego Ernesta Dąbrowskiego, z którym zawiązaliśmy przyjazne literackie stosunki. — Z nowym rokiem rozpoczynamy druk wielce cennej pracy Szczęsnego Morawskiego: „Puszcze i knieje w starożytności i wiekach średnich“. Owoc to gruntownych badań dziejowych i etymologicznych, może nie bardzo pociągający dla ogółu naszych czytelników, ale powitany on będzie niezawodnie z całem uznaniem i prawdziwą wdzięcznością przez myślących i głębiej wykształconych myśliwych naszych. — Prócz tych nader pożądanych nabytków rokujemy z nowymi pracownikami na polu myśliwstwa i mamy nadzieję, wkrótce ozdobić pismo nasze ich tworami. Nie wątpimy też, iż dotychczasowi łaskawi współpracownicy, którym głównie „Łowiec“ zawdzięcza uznanie i powodzenie, nie odmówią nam dalszej pomocy.

Wiadomo szan. czytelnikom, że w Wiedniu od 19. do 22. Maja 1885. obradował Kongres myśliwski, złożony z reprezentantów Towarzystw myśliwskich krajów koronnych Austryi. Nasze Towarzystwo, które wysłało było swego delegata na Naradę wstępną, odbytą poprzedniego roku, nie wzięło w nim udziału, zasłaniając się przesłanem komitetowi urządzającemu następnem pismem: „W odpowiedzi na szanowną odezwę z 30. z. m. ma galic. Tow. łow. zaszczyt wyrazić swoje ubolewanie, iż odmienność tak topograficznych jakoteż łowieckich stosunków krajowych nie dozwala naszemu Towarzystwu wziąć udziału w kongresie myśliwskim“. Może nie wszyscy członkowie naszego Towarzystwa staną po stronie tego postanowienia, a to zapewne głównie w obawie, iżby uchwały kongresu, zamienione później w prawo, bez naszej ingerencyi, nie przyniosły szkody naszemu myśliwstwu, którego stosunki, jak to widzimy w sprawozdaniu stenograficznem, wcale nie były na kongresie uwzględniane. Wydział Tow. łow. po dojrzałej rozwadze, widząc w czasie Narady wstępnej, główną tendencyę przyszłego kongresu w centralizacyi, która zagrozić by mogła naszemu autonomicznemu pod względem łowiectwa stanowisku, musiał się oprzeć temu dążeniu. Wezwany chętnie wyjaśni nasze odrębne stosunki i wymagania, zresztą w drodze legalnej strzedz będzie naszej indywidualności. W Listopadzie z. r. otrzymaliśmy stenograficzne sprawozdanie obrad kongresu w sporej księdze. Rozmiar jej nie dozwala nam podać w „Łowcu“ całej treści, ustępami tylko i w skróceniu możemy umieszczać rezultaty narad. Głównymi punktami porządku dziennego kongresu były: Reforma ustawodawstwa łowieckiego i utworzenie centralnego organu wszystkich austryackich Towarzystw myśliwskich. Nie poruszając tu wcale pierwszego punktu jako zbyt rozległego, nadmienimy co do ustępu drugiego, iż pewnie żaden z członków naszego Towarzystwa nie tylko nie zgodziłby się z owym projektem, ale nawet uważałby go za wprost niedorzeczny, bo zacierający i tępiący wszelką indywidualność krajów koronnych austryackich pod względem myśliwstwa. Zatwierdzenie takiego postulatu byłoby niejako samobójstwem.

Do panów Delegatów gal. Tow. łow. zwracamy się z usilną prośbą, iżby czuwając w swoich powiatach nad dobrem sprawy łowieckiej krajowej i ścisłem przestrzeganiem ustaw, zechcieli przesyłać Wydziałowi sprawozdania o stanie myśliwstwa w swoich powiatach tak w ogóle jak w szczegółach. Takie sprawozdania będą dla Wydziału Tow. łow. dyrektywą dalszego działania w celu podniesienia i uszlachetnienia myśliwstwa krajowego, będą one wyrazem łączności kraju z centralną instytucyą łowiecką i przyniosą niezawodnie nader zbawienny rezultat.

Już na rok trzeci oddajemy w ręce naszych myśliwych „Kalendarz myśliwski i rybacki“. Usilnem było naszem staraniem uczynić go coraz pożyteczniejszym i coraz bardziej ku sobie pociągającym, czyśmy ów cel osięgnęli, raczą szan. myśliwi orzec. Dochodziły nas niejednokrotnie wymagania, iżby kalendarz myśliwski połączyć z kalendarzem leśniczym. Uznajemy zupełną słuszność owych wymagań, żałujemy, że one rychlej nie sprowadziły nas na tę myśl istotnie pożyteczną. Porozumieliśmy się w tym względzie z sz. Dyrekcyą Szkoły lasowej lwowskiej i utorowali już drogę dla przyszłego kalendarza, wspólnemi siłami na pożytek leśników i myśliwych zredagowanego,

Niemniej cennym, jak kalendarz, byłby „Podręcznik naukowy dla myśliwych“, którego ułożenie i ogłoszenie uważamy za niezbędną konieczność. Podręcznik taki musiałby obejmować całość nauki łowieckiej, systematycznie i umiejętnie ułożoną. Służyłby on nie tylko myśliwym, ale też nauczycielowi jako podstawa do nauki łowiectwa i uczniom jako przedmiot nauki. Materyału do zbudowania takiego podręcznika mamy dosyć, terminologii nie brak jakoteż ludzi do podjęcia takiego zadania zupełnie usposobionych. Dzieło wszakże w tak rozległym zakresie nie może być przez jednego pracownika złożone, stworzyć je może tylko połączona siła. Czyż nie zespoliłoby się w tym celu grono chętnych, którzyby rozebrali działy do opracowania, a następnie poddali prace swoje ostatecznej redakcyi w celu zharmonizowania i zorganizowania całości. Już w roku zeszłym ogłosiliśmy to wezwanie niestety bezskutecznie, dziś ponawiamy je i mamy nadzieję, że głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy!

W łonie gal. Tow. łow. goreje ta sama szczera chęć podźwignienia z upadku sprawy łowieckiej, podniesienia jej na stopę umiejętności i jednego z źródeł dobrobytu narodowego, czem być może i być powinna. Obudza się coraz żywiej umiłowanie tego szlachetnego zawodu, krzepiącego siły moralne i fizyczne. Już wyżej wspomnieliśmy, jakie znaczenie ma łowiectwo w połączeniu z leśnictwem, dodać więc tylko należy, że dla rolnika jest ono okrasą życia, pobudką do energicznego działania na ojczystej niwie, wytchnieniem po trudach i troskach codziennych, łącznikiem z przyrodą, której wielbicielami, znawcami i badaczami powinni być rolnicy, leśnicy i myśliwi. Oni to niech będą dźwignią rozwoju naszego przyrodnictwa, bo w ciągłej żyjąc łączności z naturą, na każdym kroku mają sposobność podpatrywania jej tajemnic. Ale w tym celu należy uzbroić oko ducha nauką, wiedzą i pracą. Bezmyślne upędzanie się za jakąkolwiek zwierzyną, już dziś nie jest myśliwstwem, nawet w etymologicznem tego wyrazu znaczeniu, głębsza myśl i szlachetny cel powinne przewodniczyć rozumnemu łowcowi. To zdanie nasze poprze już dzisiaj niezawodnie przeważna część naszych myśliwych — i to będzie zasługą gal. Tow. łow. i jego organu, których ustalenie i dalszy rozwój zawisł od dobrej woli ogółu myśliwskiego. Nie wątpimy, iż żyć one będą i działać, jak dotąd gorliwie i prawdziwie pożytecznie.

Oto nasz bilans, który przedkładamy w poufnej pogadance gronu naszych myśliwych, bilans może nie świetny, ale do świetności całą siłą dążący. Wspólne usiłowania przełamią wszelkie zapory — więc zgody, łączności i wzajemności w dążeniu do wspólnego celu życzymy przedewszystkiem na rok nowy, okryty zasłoną tajemniczą. Zresztą po dawnemu zasyłamy szczere i serdeczne:

Szczęść Boże!

Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

„Z tropu w trop“.

Przekołowały, przekrzeczotały rarogi i białozory, po nad łęgi czapl, żórawi i gęsi; po żeromlach przeplusnęły bobry; tury i żubry nie porykują oddawna, ani grzebie po błotach racicą uzdrawiającą łoś smutnooki — wszystko to przemknęło wiekami, przebrzmiało w przeszłość milczącą! Rzadko beknie jeleń nad Wisłą lub w Pokuciu; niedźwiedź nie wykrada barci, bo ich nie ma po borach i nie pomrukuje sobie tak swobodnie górami jak ongi! kiedy to nań warczały rysie drapiąc się na drzewa, z których spłaszały żbika, głuszce i cietrzewie.

A gdzież ich łowcy? kędy nawet knieje i puszcze tych czworonożnych obywateli gór naszych, co to człekowi broniły przystępu do swych mateczników, wiodąc z nim wojnę zaciętą na rogi, pazury i paszcze zębate?

I ja mam śledzić tego wszystkiego i opowiadać wam tak jak opowiada osiedlec przybyły do miasta?... Trudne zadanie! chyba: że się wezmę na sposób łowiecki i gdy tropu nie stanie, domyślę się kędy on mógł. pójść. A jeżeli zmyślę?? to po łowiecku: byle dobrze!

A więc szczęścia, po srokatem niewdzięcznem polu: z tropu w trop!

Najdawniejsze i pradawne szczątki puszcz i kniei, zachowała matka ziemia w głębi łona swego, do którego przedzierają się rzeki dozwalając zaglądnąć. Kilka lat temu dopiero jak oczyszczono z nich łożysko Wisły, a rzeki do niej wpływające wcale jeszcze nie tykane. W Sanie kąpiąc się, siadywałem na pniach drzewa przymulonego i nurzając się dotykałem głębi znacznej; w Wisłoku pod Rzeszowem przez wiele lat podziwiałem dęba półtorasążniowego w miąsz, który sterczał przymulony brzegiem wyniosłym na kilkanaście sążni, a mnóstwo innych tkwiło w brzegach kilkosążniowych. Tuż obok, znalazłem róg potężny turzy i pomagałem dźwigać kły słonie czy mamutowe, które później złożone w muzeum akademii lwowskiej, podobno wraz z nią spłonęły. W Latoszynie pod Dębicą, widziałem cały las dębowy przymulony potopem. Wisłoka obrywając brzegi wysokie wymuliła nie tylko drzewa ale i słonie-mamuty co się tam chroniły. Ztamtąd są zęby trzonowe w Zakładzie Ossolińskich, ztamtąd kieł słoniowy sążnisty, żebro, goleń i piszczele złożone w Pilźnie w kasie miejskiej.

Dęby! toć to będą praojce kniei naszych; bo tylko dęby znajdują się po rzekach naszych. One to żywiły żołędzią dawne plemie ludzkie z zwierzęcem pospołu, a nie bez podstawy domysł, że wyrazy: *dąb*, *bąbrowa*, pochodzą od dobrego, którem to mianem oznaczono owoc żywiący. Rzymianie na własne oczy patrzyli, jak Germania i Gallia żyły żołędzią.

Sławianie żyli podobnie. Dla zwierza grubego liść dębowy paszą wielce pożądaną, a żołądź ulubiona dzikom i niedźwiedziom.

C i s! rzekomo trujący cieniem i jagodami a leczący wściekliznę, rośnie najpowolniej. Pisząc niniejsze*), przed oczyma mam odwieczny pniak cisowy, czerwony jak piernik i nieco czerwieńszy, trzykroć cięższy od dębiny, twardy jak heban, nóż się go nie chwyta, a słoje gdyby niteczki cieniutkie! kilkadziesiąt rocznych słojów, toć ledwo mały calik. Gęściejszego drzewa nie mamy. Cisowe bory musiały więc sięgać przeszłości odwiecznej, a pniaki cisowe co do

*) W Kamienicy u stóp Gorcza majątku ś. p. Maxyma i Kornelii Marszałkiewiczów, gdzie pozostał pniak dwunastucalowy, cetnarowej ciężkości, schowany na poddaszu szyi piwnicznej i może jeszcze tam leży.

wieku, pójdą tuż za dębem przedpotopowym. W łożyskach rzek nie znachodzą cisów. Potop ostatni spowodowany nagłym wylewem wód jeziora którego podgórskiego, czy to żywieckiego czy sądeckiego czy jasielskiego, unosił z sobą odwieczne dąbrowy nizin; ale i cis niejeden popłynął i przymulon wraz. Jeżeli się zaś nie znajdzie nikędy, tocby był młodszym od dębu, bo są ślady borów cisowych na dnie dawnych jeziorzysk, jak się to okaże niżej. Modrzew szedł za cisem obok sosny górskiej: limby.

Do poglądu ogólnego wypada dodać, że dąbrowa oznacza las dębowy; gaj, bugaj, oznacza las bukowy; jaworze to jawory; lipie, lipiny, lipniki to lasy lipowe; olchawy, olszyny, to olszowy; a bory to lasy iglaste ogółem, z których sosnowe są chojnikami a jodłowe jodłownikami. Rokity, wikle i łozy, stanowią zarośla błotnistych kęp, t. j. kup, bo kępami zwie lud podgórski kupy kamieni zbierane i składane po polach; wyspy zaś zwie ostrowiem.

Roztoką zwie się miejsce złączenia dwu potoków górskich.

Groń, oznacza grzbiet góry, z którego się woda roni t. j. spada.

Sokoły. Krogulce zwano: rabcami, *białozory* fenickie z ruska krzeczotami, z łacińska po niemiecku sokoły zwano: *Falke;* krogulce ogółem zwie lud jastrzębiami i jastrząbkami.

Łowy sokołami były to łowy na ptactwo wodne: czaple, gęsi, kaczki; sokoły wyręczały broń palną. Wyjeżdżano na łowy konno po nad rzeki i stawy, a uciechę główną stanowiła walka sokoła małego z ptakiem nierównie większym. Łęgi więc wód przystępnych były polem sokolem.

Łowy sokole przed wszystkiemi były wyłącznością panujących, a naród utrzymywał sokolników, co łowili i układali ptactwo one, a serc zwierzęcych dostarczano na żer; bo sokoł ułowiwszy ptaka, naprzód mu wydzióbuje serce, jako przysmak ulubiony. Odważnego ptaka podziwiali wojownicy; że zaś od wschodu dalekiego, może aż od Chin pochodzi zwyczaj łowów ptakami, razem z podziwem przyszedł i zabobon krwawy mongolski: zwalczonego junaka serce drgające jeszcze, pożerali zwycięzcy jego.

Serca bydlęce dla sokołów i utrzymanie sokolników, rzecz mała na pozór a w istocie był to ciężar ogromny, skoro za kilkadziesiąt grzywn kupowano wioskę, a 60 grzywnami (r. 1366) wykupia się od tych serc bydlęcych klasztor Jędrzejowski: Jędrzejowi z Miechowa, który je pobierał od poddanych klasztornych; r. 1368 za też serca „zwierząt wielkich i dzikich, jako też trzody i stad“ *(brutorum peccorum et peccudum majorum)*, od poddanych wedle prawa starodawnego pobieranych, płaci tenże klasztor wykupu dziedzicom Ossowy 35 grzywn a r. 1370 znowu dziedzicom Miechowa 100 grzywn; roku zaś 1375 znowu 30 grzywn ...

Na Podgórzu, niewiele łęgów ptasich w porównaniu z Powiślem i równiami ogółem, mniej też i śladów pozostało.

Raba tylko rzeka mogłaby chyba dzierżeć miano od rabców sokołów i Rabka wierzch nad potokiem Skomielną, też może mieć związek z sokolnictwem, skoro „skomlić“ to samo co „skolić“ a sokoły prawdopodobnie od „skolenia“ same nazwane, potokowi i puszczy nadały miano „Skomielnej“. Kto bywał w górach, nasłuchał się snadno skomlenia tego i krzeczotania.

Wyraz sokół (niejako: skomlący, skolący) odniósłbym do czasów najdawniejszych, jako miano ludowe polskie. Rabiec, w którym się przebija niemieckie „*Rabe*“ kruk i „*rabies*“ rzymskie, odniósłbym do czasów, gdy ryttery osiadali nad tą rzeką. Wyraz zaś krzeczot, jako ruski, odniósłbym do czasów Jagiełły; równie i wyraz „kobuz“ też po rusku oznaczający sokoła. Białozor jest fenicki *balnazor:* pan sokołów, pan sokół.

Do Raby wpływają: Skomielna czarna i biała z Krzeczówką (poniżej Pćimia a powyżej Tęczyna) i tam też wsie Krzeczów, Krzeczonów, Skomielna, Raba i Rabka.

Kóbulą zwie się pasmo gór nad Rajbrotem.

Jastrzębie i Falkowy przychodzą nad Dunajcem, Białą.

Krogulecka wola powyż Rytra za starym Sączem przechowuje podanie: iż nie rabiała pańszczyzny, lecz hodowała krogulce. Zdaje się być osada już na prawie wołoskiem, co najwcześniej z końcem XV wieku, bo nie ma o niej wzmianki dawnej. Może Kardynał Frycz Jagiełłowicz, badacz przyrody krogulczej, kazał tu śledzić: czy krogulce i sokoły na zimę odlatują w kraje cieplejsze?

Pieleszą sokołów były i są góry i stepy; polem sokołłowów tylko równie z łęgami ptactwa wodnego.

Żeromle bobrowe. Bobrownictwo też należało wyłącznie do panujących. Roku 1229 Konradowi mazowieckiemu bobrowniczył Jasiek z Makowa, a składając liczbę zgonów bobrowych dopisał, że im na żywność zostawił klonowego drzewa ilość potrzebną. Prócz kory klonowej, jada bóbr: topole, wierzbę, iwę; korzenie ziół: tatarczuka, grzybienia, trzciny, skrzypiu.

Mieszkają bobry nad wodami, co nie marzną do dna.

R. 1238 i 1243 Klemensa Gryfa nadania klasztorowi w Staniątkach wymieniają żeremie bobrowe, które wraz z później przybyłemi wylicza Długosz (Lib. benef. III). Brzezno, Rataje, Grodzisko; żeremie w rzece Skawinie. Łączkowice i Naszkowice nad Rabą; żeremie w rzece Brzeźnicy, w Smosi, Zatorze, Kętach i Czeladzi, także w Podłężu.

R. 1253. Bolesław Wstydliwy wraz z żoną Kingą i matką Grzymisławą, temuż Klemensowi Gryfowi (co go wydobył z niewoli Konrada mazowieckiego) wierne usługi wynagradzając, nadaje wolne bobrownictwo w dobrach jego: Branicach, Ruszczy i Brzegach, po obu brzegach Wisły.

Prócz Powiśla więc: Soła, Skawa, Skawina, Brześnica i Raba mając żeremie bobrowe, koniecznie płynęły kniejami klonów, jaworów, topól, wierzb, iw, brzóz; a odmęty, cieplice i moczury porosłe były trzciną, tatarczuchem, skrzypiem. Inaczej bobry nie mogły istnieć. Tak zaś po łęgach i plosach odmętnych, a ciepłych swobodnie wyprawiały gony swoje i pląsy wodne, bobrując po pod gniazda ptactwa wodnego pluskającego wesoło i gwarno; temu wszystkiemu przyśpiewywały krocie słowików, po dziś dzień ozdoba rzek pomienionych.

Trzeba przyznać, że książęta zastrzegając sobie udzielne sokołłowy i gony bobrowe, mieli powód nielada! powód przyjemności!

Magury, Kiczory, Makowiska, Mogila, Krakowy, Grody.

Zwierz ma swoje szlaki i pyrcie, ludzie swoje *cesty* i ścieżki, zwierz ma pielesz w kniei którą pomyka; człek ma schroniska przydrożne i osiedla stałe.

Człowiek nadał miano pieleszom i matecznikom zwierza, nazwał góry i rzeki: bo tropił zwierza docierając do pieleszy onego, albo oganiał się napaści przy przebyciu gór i wód w drodze od ludzi do ludzi, od ziemi do ziemi, od morza do morza.

Czyżby człowiek nie nadał nazwy, własnym swoim schroniskom? Bezmyślność tylko może wątpić! Człek dla własnej myśli ustalenia, dla pamięci rozumowej, musiał nazwać przybytki swoje, musiał je spamiętać, musiał podać pamięci potomnej, tak jak podał pamięci nazwy mateczników kniei, pieleszy, gawr, łęgów.

Zwierzęta wyginęły, pamięć ich pozostała w nazwach pieleszy; narody zlały się z sobą, ale nazwa plemion starożytnych przylgnęła do miejsca ich pobytu. O przeszłości odwiecznej człowieka: skały twarde, góry lesiste, potoki poronne, świadczą wyraźniej, niż pisanina ludzi, którzy nigdy nie oglądali, nie badali, nie pytali się skał, gór, wód ronionych z stoków niebotycznych — tych tropów człowieka nie śledzili.

Od Dunaju w Rakusach naprzeciw Wiednia, aż do Istru (Dunaju dolnego) u Orszowy, półkolem ogromnem, góry zwane Karpatami opasują jeziorzysko Dunaju-Istru, odwieczną Panonią.

Magura, nazwa, ciągnie się całem pasmem, od Śląska do Siedmiogrodu i do Wołoszy, Multan, dosięga Krymu równie jako i Grecyi, odnajduje się w Sardynii i w przedmieściu Kartagi w Afryce.

Kiczora, drużbi Magurze górskiej i to nie pojedyńczo, bo nie raz kilka Kiczor przyległe Magurze... zawsze w górach lub podgórzu.

Makowy, Makowice, Makowiska, Makomy, pomiędzy Magury i Kiczory rozsiane z rzadka, na podgórzach w miejscach przystępnych i otworzystych... U nas tak jak w Sardynii.

Mogila, Mogilna, Megle, zawsze na groniach lub wzgórzach obronnych u nas tak, jako i w Syryi, Palestynie.

Krakowy, Krakowce, zamczyste i kamieniste tak jak *Krak* Moabitów i fenicki *Krak* w Memfis egipskiem, jak Kraki w Dalmacyi, Illyryi, Siedmiogrodzie, na Pomorzu bałtyckiem i w Szwecyi.

Grody, Horody i grodki, horodki małe: te już nie tylko w górach naszych lecz w całej Europie i Azyi.

Są to więc tropy jakieś, tropy ludzkości, tropy narodów. Jakież to narody wydeptały ich?

Kar-bet (fenickie) znaczy: baranow pielesz,

Magura (fenicka) znaczy: „dla obcych" gospoda podróżnych.

Kiczora (fenicka) znaczy: wyrębisko, polana, poręba.

Makom (fenicki) znaczy: stanowisko ludzi i bydła, miasto.

Tokoń fenicki to sławiański Trubacz; tak samo *Tokarnie.*

Magal fenickie, to: okop obozowy okrągły; *Megal* zaś to: kolczy zamek, oboz koczami, wozami wojennemi otoczony.

Krak fenickie: to zamek murowany albo budowany.

Grd, *krt:* to samo co nasze grod, horod.

Nie sąż to więc tropy fenickie?

Kędy Magura, tam była gospoda fenicka, w pobliżu lub na Kiczorze porębie, którą wyrąbali mając po temu siekiery i piły. Góry bywały bezludne, a garstka łowców pielich żyjąca lasem, pewno nie trzebiła kniei swą okszą krzemienną: raczej by paliła las.

Kiczory, to poręby fenickie najstarodawniejsze jakie istniały! Rąbano las na budulec, opał i do kuźnic kruszcowych, które były ich wynalazkiem.

„*Kuded*" fenickie znaczy: palić, zarzyć, kować; *kunia:* wyrobnia kruszcu, którego jakość oznacza „*kutem*": kruszec podobny do złota. Złotnicy feniccy w dalekiej ziemi zakładali wyrobnie, dogadzając upodobaniu narodów północnych. Wyroby były brązowe podobne złocistym a zapuszczali się z nimi na północ daleką.

Czyż żydowscy złotnicy z Rzeszowa z brązami swemi, nie bywali na końcach świata za naszych czasów? — Znałem osobiście jednego: Arona Verliebter, który mi okazywał kosteczki palca swej nogi odmrożonej w Kamczatce; z ust jego (przed laty 60) najpierw słyszałem o Czukczach bitnych co jeździli na renach. Drugi żyd na starość karczmarzący w Woliczce pod Sędziszowem, opowiadał mi o Władykaukazie i szczycie Elbrusa. Tamtędy kupcząc rzeszowskim złotem, chciał dotrzeć do Jeruzolimy, lecz wrócił spłoszony od Ossów i Czerkiesów.

Feniccy zaś nie zdążyliby w nasze góry z Panonii i Dakji? — Zdążali, kopali kruszce, zakładali wyrobnie, trzebiąc lasy jaworowe a polany i poręby zużytkując na pasze i rolę.

Makomy były ich zbiorowiskami ich osiedlami, targowicami, w miejscach bezpiecznych, w sąsiedztwie narodów przyjacielskich.

Megale, *Megle:* obwozy, kolcze zamki, wskazują, że odbywali wyprawy wojenne, liczne i zbrojne, że byli zdobywcami a *Krkami* i *Grdami* ubezpieczali się w krainie zdobytej.

Zdążali ku północy, ku ujściu Wisły i pieleszy jantaru: odczochami górskiemi, które od ich magur przybrały nazwiska. Wszystkie Magury tak południowe jako i północne, wiodą ku Gdańskowi ku Pucku, który w fenickiem oznacza krainę woniejącą. Nie mogąc się tam przebić przez narody nieprzyjazne, zatrzymywali się a nawet osiedlali mimowoli — wśród Sławian rolników gościnnych, udzielając im oświaty, bratając się z nimi. Kupiectwo, górnictwo, rzemiosła i gospodarstwo: to było zatrudnieniem ich powszechnem, wojenka wynikiem konieczności. Łowy na zwierza dzikiego nie były z powołania lecz z potrzeby obronnej, więc też nie ma wyrazów łowieckich.

Mateczniki tylko znali obchodząc zdala i zwąc *sukhe* t. j. legowisko, matecznik.

Okn zwali koziorożca i kozicę, okno (kołomyjskie), Oko (tatrzańskie) to kozic pielesze.

Jel, antylopa; więc nasz jeleń, pierwotnie zwan ładn i łania (ładna).

Marucha, nazwa sławiańska, niedźwiedzia, na Węgrach: jest fenicka oznacza jaskiniowego (zwierza): *mara*, jaskinia.

Zeb (fenick.) wilk; przechowane w nazwie *Zub Suche.*

Szopn (fenickie) borsuk libański.

Dunaje, Dunajec, Tatry, Sarmackie góry.

„A ja za neju, jak za zoreju —
Biłym koniom czystym polom
Aż do Dunaju..."

brzmi nadobna piosnka ludowa na Rusi, a o Dunaju w znaczeniu rzeki spiewa lud na Powiślu całem. Dunajec zaś

sądecki i sławiański Dunaj w Wendo-lechji, są pomnikami narodu, który musiał przebywać w pośród nas, skoro pozostał po nim ślad dźwiękowy: dunaj. Na szczytach Kaukazu w krainie Azow-Osow, po dziś dzień rzeka zwie się *don* lub *dun*. Ztamtąd przez Don, Doniec, Dunister ciągnie się ślad aż do Dunajca i Dunaju.

Jest to trop dziejowy plemion fińskich. Z rozpowszechnienia nazwy *dunaj* znać, że pochód odbywali dolinami rzek; toć też Dunajec przez góry wskazał im cestę do Dunaju, a sam pozostał ich drogoskazem wieczystym.

Od nich nazwa Sarmacyi, bo w mowie ich *sar:* woł, *ma* kraj; — S a r m a c y a: Wołów kraina, Wołyń, step wołowy bogaty. Ztamtąd przybyli, Dniestru doliną przeszli na W e r c h o w i n y Beskidu wielkiego i w Zabiesczadzie w słynne błonia *Saros*... zkąd zasie przeszli w porzecze Dunajca ciągnąc ku Dunajowi i na Sląsk. Tropy ich pozostały w nazwach fińskich Tatr — (fińskie) *toit-ur:* śnieżne góry, podobnie jak nazwali Totrusz w Siedmiogrodzie, zapędzając się tamtędy. Słusznie więc Ptolom w opisie ziemi, Tatry i Beskid zwie górami Sarmatów.

Pielesz swą zwali *ichot*, *chot*, co pozostało tam w nazwie *hotur* a w naszej Rusi w *chacie*, sławiańskiej i z b i e.

Niedźwiedzia zwali *hoba*.
Rena zwali *kunna*.
Wilka zwali *czesz*.
Łosia zwali *sus*.

Po nich sarmackie nazwy kniei: Huba, Habowka Kunnice, Czeczwia, Sukiela, Susdół i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z myśliwskiej przeszłości Wołynia

skreślił

Józef Dunin hr. Karwicki.

Trudno zaprzeczyć, że coraz bardziej znikają w Polsce tradycyjne cechy dawnego wielko-pańskiego łowiectwa ze swym charakterem krajowym i czysto narodowym. Gdzież dziś tacy myśliwi, jak sławnej pamięci na Litwie książe Karol Radziwiłł, znany w ogóle pod zawołaniem książe Panie Kochanku, który dla tego jedynie nigdy prawie nie mieszkał w swej ordynacyi Ołyckiej, gdyż twierdził, że na Wołyniu można chyba na susły polować. Gdzież taki Chorąży koronny Stecki, który z nastaniem jesieni wyciągał ze swej rezydencyi w Międzyrzeczu koreckim na czele swego myśliwstwa i wracał dopiero przed Bożem Narodzeniem, mając za poprzedniem porozumieniem się rozpisaną marszrutę na kilka miesięcy, po całym obszarze rozległego Polesia Wołyńskiego. A wiadomo, że to przestrzeń nie mała, bo zajmuje północną część powiatu Rowieńskiego, Łuckiego, Zwiahelskiego, Żytomirskiego i całe prawie powiaty Kowelski, Owrucki. Było więc gdzie polować i przy układaniu tej marszruty wracano ledwo co drugi rok w te same ostępy, lasy bowiem nie były jeszcze jak dziś wycięte i wyniszczone. W pierwszej ćwierci tego stulecia całe Polesie przedstawiało rzeczywiście jedną puszczę sosnową, kończącą się w niektórych miejscach, ku granicom Wołynia, lasami liściastymi. Przybycie takiego Chorążego Steckiego oczekiwane było z upragnieniem przez każdego miejscowego dziedzica i jego rodzinę, bo dawało powód do wrodzonej każdemu polakowi gościnności. W dzień polowano hucznie, a wieczorami starsi zabawiali się kielichem, a młodzież tańcami. Chorąży prowadził za sobą ogromny tabor myśliwski, powiększony przez szlachtę, która się z nim łączyła i ciągnęła do sąsiedniego dworu, oznaczonego w marszrucie. Lecz własne jego myśliwstwo, złożone ze strzelców, koni wierzchowych, psów gończych, ogarów, jamników, kundysów do osadzenia dzika i niedźwiedzia i chartów, którymi na polach wołyńskich wedle upodobania, gdy pora była stosowna, szczuto zające, lisy a nawet nieraz i wilki, — furgonów kuchennych i obozowych dla przepędzenia nocy pod gołem niebem i wozów krytych jednostajnie pomalowanych i numerowanych z sieciami i parkanami dla obsaczania kniei i ostępów leśnych, wszystko to podążało za nim we wzorowym porządku i przedstawiało iście obraz pochodu wojennego. Na Boże Narodzenie całą do końca pozostałą przy Chorążym koronnym drużynę myśliwską zapraszano zawsze do Międzyrzecza Koreckiego, gdzie się odbywała suta Wigilia i solenne Nabożeństwo świąteczne w kollegium OO. Pijarów, którzy tu wychowywali młodzież szlachecką. W czasie Świąt nie obeszło się bez uciechy myśliwskiej, w obszernych lasach międzyrzeckich, pozostawionych zwykle na waletę. Były to więc sute i huczne polowania, o których naturalnie wiem tylko z tradycyi, lecz szczegółowa o nich opowieść, rozradowałaby z pewnością najwybredniejszego myśliwego.

Osobiście znałem równie zapalonego myśliwego na Wołyniu i miałem to szczęście, że nie raz za młodu przyjmowałem go u siebie na polowaniach w mych lasach Hurbieńskich, należących do klucza Mizockiego. Chcę tu mówić o naszym czcigodnym Nestorze Wołyńskim hrabi Marcinie Amor Tarnowskim, pułkowniku b. wojsk polskich, który własnym kosztem wysztyftował XVI. pułk ułanów i prawie do śmierci żył wśród nas w Krzemienieckiem, w swych dziedzicznych Podberezcach, przodując nam przykładem i sercem gotowem do wszelkich ofiar. Na rok przed śmiercią, o ile pomnę w 1861. r., przeniósł się ten zacny 90-letni starzec na mieszkanie do Krakowa, tęskniąc za dawnymi towarzyszami broni, i tam też zawarł strudzone powieki. Nie tu miejsce na szczegółową biografię tego męża, który jak jasna świeca przyświecał przez długie lata całemu Wołyniowi, chcę tylko wspomnieć o jego passyi łowieckiej, która mnie nieraz w podziwienie wprawiała. Chociaż hr. Marcin Tarnowski nie utrzymywał tak świetnego myśliwstwa jak Chorąży koronny Stecki, to jednak niezaprzeczenie był zapaleńszym od niego myśliwym. Zapowiedź najmniejszego polowania radowała go jak 15-letniego studenta. Pamiętam doskonale, że w r. 1857 czy 1858, jadąc na wiosnę obok Podbereziec, których nie wolno było nikomu u nas minąć, spostrzegłem staruszka i wiernego jego druha Sędziego Zielińskiego, czatujących wieczorem

w krzakach na przelot słonek. Gdy latem nastawał czas polowania na dubelty, wybierał się na błoto i bynajmniej młodym nie ustępował w tem uciążliwem polowaniu. Zimą wśród nawalnego śniegu ubił w swych lasach dwa spore warchlaki i strasznie się na mnie rozfukał, gdy dla podwiezienia go w kniei na stanowisko, przygotować kazałem jednokonne małe saneczki i składane krzesełko z dywanikiem, aby staruszek nie ziąbł w nogi, póki obława się nie odezwie. Lecz najulubieńszą jego uciechą było polowanie z chartami, przyczem wszyscy podziwialiśmy jego rzeźkość na koniu. Wskutek rany od lancy kozaczej, otrzymanej na czele swego pułku w 1812 r., z trudnością przerzucał prawą nogę przez siodło, lecz gdy się raz znalazł na koniu, nie jeden z młodych papinecików jemu by nie sprostał. Późną jesienią, gdy się ruń ozima pięknie zazieleniała i ziemble dobrze opadły, zbieraliśmy się wszyscy z chartami na własnych koniach w Podzamczu, majętności jego synowca hr. Jana Tarnowskiego, zkąd polami ciągnęliśmy do Podbereziec i dalej w sąsiedztwo ku Katerburgowi, Zahajcom, Brykowowi, wedle naprzód ułożonego planu. Kto kochał naszego pułkownika, nie śmiał bez niego ani jednego zająca u siebie uszczuć, bo staruszek gotów był oto się strzelać, zresztą nikt nie chciał się narażać na gniew jego, gdyż każdego zburczał od stu diabłów. Osobiście dowodził taką wyprawą i prowadził ją z wojskowym rygorem. Wyjeżdżano nieraz w 30 i 40 koni, licząc w to służbę i szczwaczy. Wszyscy rozstawiali się półkolem, mając na skrzydłach doświadczeńszych charciarzy, zwykle ex-kawalerzystów, których pułkownik uważał za swych podoficerów. Nie wolno było pomykać za każdym zającem, a należało szczuć tylko tymi chartami, przed którymi szarak z miejsca ruszył, a to dla dowodnego wypróbowania rączości i bierczości psów, pochodzących ze znanych gniazd. Sławne wówczas były charty Antoniego Szaszkiewicza z Biczowej pod Lubarem, Adama Miączyńskiego z Maciejowa w Kowelskiem, Adama Wyleżyńskiego z Belczyniec pod Berdyczowem. Pamiętam jego smycz, Asa i Dwójkę, która rzeczywiście wszystkich w zadziwienie wprawiała, o takich chartach dziś już pojęcia nie mamy. Pułkownik ściśle przestrzegał równania się w szeregu, nikt nie śmiał koniem naprzód wyjechać, nieraz gdy dwóch znajomych zagadało się zbliżywszy się do siebie i mimowolnie wyjechało naprzód, staruszek od prawego skrzydła pomykał z kopyta i szarżował na nich z całą furyą, łając ich od zwykłych stu diabłów. A trzeba było wtedy widzieć, jak siedział na swym karoszku, jak go zażywał, jak osadzał na miejscu, tak jakby stał jeszcze na czele swego pułku w czasie wojen Napoleońskich. Uwzględnić przytem należy, że wówczas nosił już na sobie 9ty krzyżyk, gdyż to odnosi się do okresu między 1850 i 1860 rokiem. Zaprawdę dziwni to byli ludzie owej epoki, naszemu zniewieściałemu pokoleniu należy przed nimi czoło uchylić. Od czasu do czasu dawało się słyszeć głośne nawoływanie staruszka: „Macieju od lasu! od lasu!“ zwrócone do jego starego wiernego sługi, któremu powierzał ten posterunek honorowy. Tomy by się zapisało, chcąc zebrać wszystkie myśliwskie wspomnienia o naszym czcigodnym pułkowniku, bo była to postać posągowa, czysta jak łza, serce szlachetne, które wiele w życiu ucierpiało, a gotowe było zawsze ostatnim groszem podzielić się z potrzebującym. A jednak był to wielki myśliwy przed Bogiem, bo wśród najcięższych prób, zaproponowana jakabądź wyprawa myśliwska, rozpogodzała jego czoło. Pamiętam jednej zimy, gdy był tyle łaskaw i zjechał z towarzyszami, a raczej z rezydentami i całym swym dworem do mnie na obiecane mu z jesieni polowanie na dziki, zaproponowałem mu wyjechać z wieczora do leśniczówki w Hurbach, odległej o 3 mile, aby wcześnie o świcie, gdy tylko gajowi wrócą z obsoki dzików, wyruszyć do kniei. Uprzedziłem go, że nocleg nie będzie tak wygodny jak we dworze, na co naturalnie żywo się obruszył i sam naglił do wyjazdu. W leśniczówce zajmowaliśmy obszerną izbę, gdzie się wszyscy na nocleg rozłożyliśmy po łóżkach i kanapach, a reszta towarzystwa pokotem na wonnem sianie, przy dogorywającym ogniu na kominku. Dla pułkownika przygotowano pościel w zacisznej bokówce i wkrótce po wieczerzy i ożywionej gawędce myśliwskiej rozległy się echa silnego polskiego chrapania, o którem Artur Bartels w swym niezrównanym „Tygodniu poleskim“ (Łowiec 1878.) tak słusznie się odzywa:

„Oj! żeby to we wszystkiem u nas tyle zgody
Taka piękna harmonija, taka jedność w zdaniu
I tak szlachetny zapał, jak w owem chrapaniu!“

Ja przed świtem jako gospodarz, wstałem po cichu nie budząc towarzyszów, aby przypomnieć nadleśnemu wyprawienie gajowych i strzelców na obsokę dzików do różnych kniei i wyjrzeć na podwórze, czy z nocy nie przyprószyła tak pożądana ponowa. Lecz ujrzawszy przez źle spojone drzwi światło w bokówce, zląkłem się, czy stary nasz pułkownik nie zaniemógł i nie potrzebuje pomocy. Jakież było moje zdziwienie, gdy zbliżywszy się cichutko do szczeliny we drzwiach ujrzałem go siedzącego na łóżku w kaftanie i spodniach łosiowych i nabijającego pilnie swój sztuciec i strzelbę kniejówkę, przyczem odmawiał półgłosem łacińskie pacierze, jako istny Sodalis Marianus. Zaiste był to śliczny typ Mohortowski, zapewne ostatni, jaki tu oglądać mieliśmy sposobność i godny pędzla narodowego artysty. Gdy po kilku chwilach wszedłem przez sień do bokówki z wymówką, czy nie lepiej by było powierzyć tę czynność Maciejowi lub któremu z moich strzelców, zburczał mnie pułkownik, wprawdzie łaskawie, dając naukę, że dobry myśliwy sam zawsze własnoręcznie broń sobie nabija i że on całe życie tego prawidła się trzyma. I rzeczywiście dobrze na tem wyszedł, gdyż w kilka godzin po tem, podwieziony mimo swego oporu małemi saneczkami na stanowisko, ubił dwoma celnymi strzałami z ogromnego stada, wprost napędzonego na niego przez obławę, parę ślicznych warchlaków, które kazałem przytroczyć z tyłu do jego sanek, gdy wracał wprost na lasy do Podbereziec. W świetnym był humorze przy śniadaniu, spożytem w kniei przy ognisku myśliwskiem, gdzie zdrowie jego jednomyślnie spełniliśmy. Powiadał mi ze zwykłą swą dobrocią: „Psujesz mnie do stu diabłów, ale wierzaj, że oblanego dubelta i tłustego warchlaka uważam za najsmaczniejszą zwierzynę“.

Znika więc u nas na Wołyniu tradycya dawnego polskiego łowiectwa, bo znikają prawdziwe typy myśliwskie wraz z lasami, w których się oni swej ulubionej zabawie oddawali. Myśliwych przykryła zimna mogiła, a lasy nasze coraz bardziej padają pod siekierą niemiecką i żydowską. Od lat 30 a nawet 25 poznać nie można tych miejsc, gdzie się strzelało do dzików i kozłów. O łosiach tu nie mówię, bo na Wołyniu ich nie mamy, resztki pozostały jeszcze na Polesiu, a najbliższym rewirem, w którym się jeszcze dziś

u nas z łosiami spotkać można, to leśnictwo Cumańskie, należące do ordynacyi Ołyckiej ks. Ferdynanda Radziwiłła, a oddalone od stacyi kolejowej Klewań ledwo o wiort 12.

Z powodu wytrzebienia lasów i coraz gęściejszego zaludnienia, szczególniej przez kolonistów Czechów, liczba wilków chwała Bogu znacznie się zmniejszyła. Dla spokoju mieszkańców, a szczególniej ich inwentarza roboczego i nieroboczego, wielka to zmiana ku lepszemu, ale znika przytem jedna z prawdziwych uciech myśliwskich, gdyż co do mnie przynajmniej, trafny strzał do tego szkodnika uważam za jedną z największych rozkoszy. Jeszcze przed laty piętnastu udawało się mnie samemu w jednej jesieni naliczyć do 30 wilków, ubitych mojem staraniem, przez co wyrządziło się wielką usługę całej okolicy.

Różne są sposoby polowania na wilki, lecz najbardziej korzystnym jest z pewnością odwabianie ich całemi gniazdami z początku jesieni od pierwszej do drugiej Przeczystej, jak to u nas powiadają, to jest między 15/27 Sierpnia a 8/20 Września, bo wtedy szczenięta trzymają się jeszcze gniazda i przy szczęściu można wszystkie razem wydusić. Jest to także rodzaj wielko-pańskiego polowania, gdyż jest ono bardzo kosztowne z powodu mnóstwa ludzi, których się do tego używa, sieci, któremi trzeba knieję otoczyć, a szczególniej wytrawnych myśliwych, umiejących doskonale wilki odwabiać. Z ich śmiercią zniknie i ta jeszcze tradycya naszej przeszłości myśliwskiej, bo gdy dziś każdy dorobkowicz potrafi sobie sprowadzić wielkim kosztem konie i psy angielskie do forsowania lisa, wreszcie gdy potrafi gdzieś zaobstalować nowe siecie dla obrzucenia kilkuwiorstowej kniei, to z pewnością nie dostanie kilku wytrawnych myśliwych, posiadających nie łatwą sztukę odwabiania wilków, bo tacy tylko trzymają się po starych pańskich dworach i młodym nie przekazują swego sekretu.

(Dokończenie nastąpi.)

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Gdy we wsi usłyszą ten koncert wokalno-instrumentalny, wiedząc co on zwiastuje, chwyta kto słyszy za drągi, siekiery, gwintówki i co się znajdzie pod ręką i biegnie w stronę zkąd wrzawa, lecz niestety zawsze za późno, gdyż jak powiedziałem, niedźwiedź nie czeka na obrońców. Przybiegają do pasterza, który opowiada im to, czego sam nie widział, pogadawszy więc, wracają w tryumfie do zajęć, uspokojeni, że już nieprzyjaciela nie ma, a wróg tymczasem porwany kąsek smacznie spożywa. Nasyciwszy się, pozostałość przykrywa gałęziami i mchem i odchodzi głębiej w tajgę gwoli miłego spoczynku. Mieszkańcy wsi, w kilka godzin po porwaniu, uzbrojeni należycie, udają się w kilku lub kilkunastu na poszukiwania, gdy znajdą porzuconą pastwę, budują łabaz t. j. ławę dość szeroką, umieszczoną wysoko pomiędzy gałęziami drzew, a o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie spoczywa niedźwiedzia ofiara. Na tym łabazie zasiadają na noc, najczęściej we trzech, gdyż rabuś zwykle w nocy, lecz bardzo rzadko pierwszej nocy po porwaniu, do swego łupu powraca, przyczem jest nadzwyczaj ostrożny. Zdarzało się, iż czatowano i trzy noce jedna po drugiej na próżno. Zwierz podchodził, zbliżał się, lecz zwietrzywszy lub zasłyszawszy ruch najlżejszy na zasadzce, nigdy nie przyszedł do padliny. Gdy niezwykła jego ostrożność oszukaną zostanie, to podejdzie do łupu — tak jak to się stało w kilku mi znanych wypadkach. Dzieje się to nad ranem, t. j. około 11ej lub 12ej godziny. Nocna ciemność latem, nie dozwalająca strzału pewnego, w miejscowościach gdzie byłem, trwa przy pogodnej nocy, choćby na nowiu, niedłużej jak jedną a najwięcej półtory godziny. Zatem gdy niedźwiedź podejdzie do łupu, odrzuca przykrycie, ale nie całe i siada do uczty, wówczas najlepsza pora do strzałów, nie należy się jednak spieszyć i bardzo cicho się zachowywać, bo najmniejszy szelest pochwyci swym doskonałym słuchem i natychmiast umyka. Sybiracy zwykle strzelają z łabazu z gwintówek lub jeśli je posiadają, z dubeltówek pieńkami. Gdy po pierwszych strzałach niedźwiedź legnie martwy, co bardzo rzadko się zdarza, zasadzka pozostaje jeszcze z godzinę na łabazie — niedowierzając. Krążą między myśliwymi wieści, iż nie śmiertelnie raniony zwierz upadł, a gdy łowcy natychmiast zaczęli schodzić, niedźwiedź posłyszawszy i dostrzegłszy zasadzkę, wlazł jeszcze na drzewo i zrzuciwszy łabaz wraz z siedzącymi, poranił ich, choć mu się toporami bronili. Rankiem drudzy zaniepokojeni, że zasadzka nie wraca, przybywszy na miejsce, zastali zdobycz już wprawdzie martwą, ale i myśliwych nie zupełnie zdolnych do pochodu.

Mięsa z zabitego przez niedźwiedzia zwierzęcia sybiracy nie jadają, zowiąc go „pogane“, my zaś, gdy było świeże, korzystaliśmy, wyprawiając się czasem we dwóch tylko. Uzbrojeni w siekiery i worki, zastawaliśmy czasem misia przy uczcie, w takim razie bywał dla nas dość łaskawy, pojmował może, że tylko z musu byliśmy jego współbiesiadnikami, więc opuszczał na chwilę biesiadę i dozwalał podziału. Naturalnie, odrąbawszy co lepsze i całe, unosiliśmy w worach na kilka dni zapas obfity. Czyniliśmy te wycieczki tylko w nocy, by ujść oka mieszkańców, bo gdyby dostrzegli, niezawodnie otrzymalibyśmy również jak i zabite zwierze, przydomek co najmniej opoganionych. Miejscowi mieszkańcy prawie nigdy nie prześladują niedźwiedzia zaraz po porwaniu bydlęcia, twierdzą bowiem, iż on zakosztowawszy krwi świeżej jest straszniejszym i dzikszym.

N i e d ź w i e d ź, jak wszystkiej braci myśliwskiej wiadomo, jest smakoszem znakomitym, z pomiędzy ulubionych jego straw są szczególnie słodycze, jak miód, a z owoców, jakie północna strefa wydaje, maliny.

W Tajdze często spotkać można spore przestrzenie odwiecznego lasu, podszyte krzakami malin. Gdy pora ich dojrzewania nadchodzi, dają się spostrzegać w rozmaitych

kierunkach wydeptane przez niedźwiedzie drogi szerokie, nie oszczędzają krzaków, mając ich pod dostatkiem. Poznać łatwo jegomości Toptygina sprawkę, bo znajdziemy wszędzie, gdzie obficiej na łodygach owocu, zmiażdżone w paszczach grona i liście. Nie robi sobie kłopotu, nie trudzi się zrywaniem jagód, lecz zasiadłszy wygodnie, przedniemi łapami zajmuje bliższe obwisłe pod ciężarem owocu gałązki, przyciąga je do powabnej buzi a mlaszcząc i mrucząc z zadowolenia, wysysa sok, nie bacząc bynajmniej, czy wszystkie dojrzałe i czy na nich lub w nich, nie zamieszkało jakie żyjątko. Nasyciwszy żądny tych smacznych wetów żołądek, odchodzi na drzemkę i wraca znów nazajutrz. Sybiracy wypatrzywszy łakotnisia, zastawiają p e t l ę, wykopują dół s a m o ł ó w, lub układają deskę s a m o ł ó w k ę.

Rozpoczynam od p e t l i. Jestto sznur konopny, lub z włosia końskiego dobrze ukręcony, grubości palca, długości kilku sążni, na jednym końcu robi się oko wielkie, by głowa i łapa swobodnie przeszła, okrywa się liśćmi i gałązkami malin bez owocu, przyczepia się je kolcami tak gęsto, by zakryć włókno i skręty linki. Tak przybraną petlę, nie zwracającą uwagi Miszki, zajętego wyborem owocu, zawiesza się na gałęziach krzewów, drugi zaś koniec odrzuca się na stronę między krzewy, by nie spostrzegł i przywiązuje w środku kloca na sążeń długiego i odpowiednio grubego. Łakotniś podchodzi, sądzi może, że to wieniec tryumfalny, przekłada głowę i zwykle jedną łapę przez petlę, delektuje się smacznemi jagódkami, lecz niestety wszystko ma swój koniec, tutaj nie daleki, bo na długość linki, a za jej długością — komiczno-tragiczny. Smakosz posuwa się w krzakach do możebnej mety, poczuwszy ucisk zaciągającej się petli i zwróciwszy uwagę na napinającą się linkę, gdy kloc znalazłszy przeszkodę, nie może się doń zbliżyć, pociągając łapami przedniemi, idzie rozgniewany za nią i dochodzi do kloca. Po drodze stara się linkę roztargać i jeszcze używa innego sposobu, chcąc ją osłabić, lecz tego opisać nie mogę, nie chcąc biednego Miszki wydać z sekretu lub narazić jego i siebie na posądzenie o nieprzyzwoitość, choć to prawda, że dalszy ciąg linki, zwykle nie liśćmi malin przybrany bywa. W ten sposób dochodzi rozgniewany, pomrukujący a czasem i ryczący do kloca, obejrzawszy go należycie i wybiwszy łapami, dopóki takowe na dobre go nie zabolą, chwyta kloc oburącz (w ochabkę) idąc na tylnych łapach, zanosi na skałę stromą lub takąż gołą górę, które tam piętrzą się jedna obok drugiej. Doniosłszy ciężar do krawędzi spadku, zrzuca kloc na dół i nachylony patrzy, jak spada sądząc, iż się już od nieproszonego towarzysza uwolnił. Błoga nadzieja trwa chwilkę, bo kloc spadając szybko, swym ciężarem i siłą rzutu, gdy długość linki wyczerpaną została, porywa za sobą biednego Miszkę, który w koziołkach z bólu, przestrachu i gniewu wyśpiewuje wcale nie niebiańskie melodye. Pierwszy raz widząc to i słysząc, z mych wrażeń, tak szybko po sobie następujących, jak i Taptygina czynności, nie mogłem sobie zdać sprawy. Pierwszem był śmiech, następnie straszny ryk wywoływał przerażenie i politowanie dla nieszczęsnej ofiary. Nie kończy się na jednorazowej, mimowolnej podróży z góry na dół, powtarza ją nieszczęśliwy Misio cztery lub pięć razy, aż wreszcie siły się wyczerpały i kożuszek o ostry sęk się rozdarł. Wówczas z ukrycia wychodzili myśliwi i albo zmęczonego zabijali palmą lub strzelali kilkakrotnie z gwintówek. Winienem dodać, że myśliwi stawiając petlę, pozostają w niewielkiej odległości, najczęściej na sąsiedniej gęsto zarosłej górze, jak w wypadku, przy którym byłem obecny, skąd doskonale można było śledzić wszystkie ruchy niedźwiedzia.

S a m o ł ó w (w i l c z y d ó ł). Takie zdaje mi się w naszej nomenklaturze nosi miano. Jest to dół, mający powierzchni na sążeń w kwadrat, dno szersze, jeśli miejscowy gatunek gruntu pozwala, wykopany na 4 do 5 łokci głębokości. W dno wbija się kilka zaostrzonych palików z suchego twardego drzewa, powierzchnię pokrywa się nieco dłuższymi od otworu prętami, na nich gdy są grubsze, układa się cienkie darnie lub pokrywa gałązkami, mchem, wrzosami i trawą, bacząc ściśle, by się nie odróżniały od otaczających. Taki samołów, zazwyczaj wykopuje się wśród malin lub na zwykłych niedźwiedzia drogach, gdzie częściej się go spotyka. Gdy wpadnie, rykiem daje znać o sobie, myśliwy spieszy i zabija go strzelając, lub przebija dłużej osadzoną palmą, jeśli niedźwiedź spadając, sam się nie nabije na kół sterczący w dnie dołu. Zdarza się, iż wpadłszy do dołu nie uszkodzi się mocno lub tylko z lekka rozedrze sukienkę, wówczas wyprawia tańce między palikami tak zręcznie, jak to nam przedstawił mistrz Siemiradzki na obrazie „Taniec wśród mieczów“ z tą różnicą, że niewolnica akompaniuje muzyce i własnym ruchom uderzeniami w tamburino, a Misio nieszczęsny nie mając tamburina wtoruje własnym głosem, czem daje znać o sobie wyczekującym myśliwym.

S a m o ł ó w k a, deska (nosi jeszcze inną nazwę, której nie pamiętam). Przy jej opisie przychodzi mimowoli na myśl „Madejowe łoże“, o którem zapewne wielu z czytelników słyszało w dziecięcych latach z opowiadań nianiek, bo też rzeczywiście do niego jest podobną. Jestto deska, a raczej bal gruby, długości blisko metra, szerokości przynajmniej pół metra, nad powierzchnią na kilka centymetrów do 10-ciu mniej więcej wysokości, sterczą gwoździe żelazne z ostrym końcem, podobnym do zakończenia haczyka od wędki, dosyć gęsto nasadzone. Ustawia się tę torturę na drogach, gdzie zwierz przechodzi częściej, wyjąwszy z pod samołówki tyle ziemi, by grubość bala nie wystawała nad powierzchnię, sterczące gwoździe pokrywa się starannie cienką warstwą traw i wrzosów. Umieściwszy należycie samołówkę, myśliwi odchodzą i oczekują zdobyczy, a często wracają do domów, gdyż tu o ucieczce biednej czworonożnej ofiary, byle tylko nadeszła, mowy być nie może. Niedźwiedź może zamyślony, krocząc poważnie, nie spodziewając się zasadzki ze strony dwunogiego wroga, wstępuje jedną łapą na deskę, a że łapę ma większą, jak wielka a czasem i największa ludzka stopa, zawsze nadepcze na dwa lub trzy najmniej gwoździe, stąpając zaś nie tak lekko, jak na froterowanej posadzce elegancik, lecz ciężarem całego ciała, przebija łapę na wylot, wtedy zwykle odzywa się pierwszy ryk ze strachu czy z bolu, albo może i gniewu na zdradziecką samołówkę a może i na tych, co ją zastawili, tego nie wiem, ale to wiem, że silny. Probuje wyrwać nabitą łapę, lecz haczyk nie puszcza, nie znosząc oporu, pan samowładny puszcz, chcąc zerwać siłą pierwszą łapę, uderza drugą i ta przybija się stale do deski. Siadając z bolu podnosi deskę, wstrząsa takową rycząc, probuje znów przewróciwszy się na wznak za pomocą tylnych łap oswobodzić przednie, lecz i te ulegają losowi poprzedniczek i biedne zwierzę rycząc z bolu i wściekłości, leżąc na grzbiecie, kołysze deskę przymoco-

waną na wszystkich czterech łapach. Tak zastają zwykle myśliwi nieszczęśliwego i celnymi strzałami kończą jego męki.

Podobną do samołówki z budowy jest gwiazda niedźwiedzia, używana przez Tunguzów i Ostjaków. Widziałem ją, lecz nie byłem z nią na polowaniu, nazywają ją także piłką, kulką niedźwiedzią, (miedwieżia zwizda, miaczik, szarik). Jestto klocek zamknięty wielu ścianami, czasem kształtu kuli, nabity takiemiż jak samołówka gwoździami. Gdy niedźwiedź podejmuje się na dyby, na bliskiej przestrzeni, podają mu takową, rzucając na sznurku, on chwyta łapami i więzi obie. Mówiono mi, że wtedy można go prowadzić na dwóch łapach, gdzie się podoba, pociągając za sznur, mocno do piłki przyczepiony. Słyszałem także, że w południowej Syberyi, gdzie są pasieki, gdy niedźwiedź zaczyna je odwidzać, urządzają młoty t. j. wieszają tuż przy otworach ulów na linie gruby pień, który niedźwiedź jako przeszkodę do wydobycia smacznego miodu, z początku lekko odpycha, następnie zniecierpliwiony coraz silniej, a gdy go pień coraz dotkliwiej uderza, rozgniewany jeszcze silniej odrzuca i tym sposobem zostaje mocno potłuczony a nawet czasem zabity. Podaję to dla kompletu sposobów łowienia niedźwiedzia, obecnie przejdę do polowania Tunguzów i Ostjaków z palmą czyli rogatyną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Łęczyca 7. Grudnia 1885.

Nie mając nic szczególnego do zanotowania, nie odniosłem się nawet do szanownej Redakcyi o łaskawe sprostowanie mej korespondencyi, zamieszczonej w Nr. 9. „Łowca“ r. b., w której mylnie podano, że na polach wsi Tum ubito 5 kozłów i 2 lisy, oraz na polach wsi Witaszewice i Podgórzyce, ubito 5 kozłów i 2 lisy. Przytem, imię moje z Władysława przerobiono na Włodzimirza. Jednakże o powyższe pomyłki bynajmniej nie posądzam sz. Redakcyę, lecz raczej przepisującego mój brulion, któremu wyjeżdżając z domu poleciłem przepisać takowy, podpisać moje imię i nazwisko i nie czekając na mój powrót, wysłać podług wskazanego adresu. Lecz stało się! Pośmiano się trochę i przestano.

Zwierzostan u nas w bieżącym sezonie polowania nie pozostawia nic do życzenia. Zajęcy mamy prawie trzy razy więcej jak w roku zeszłym, a zawdzięczamy bezśnieżnej zimie i sprzyjającej porze podczas wysiadywania, iż kuropatw okazało się u nas takie mnóstwo, o jakiem najstarsi nie pamiętają myśliwi. Nie będzie to bajeczką myśliwską, ale istotną prawdą, jeżeli powiem, że na przestrzeni $1\frac{1}{2}$ włóki buraków w przeciągu $2\frac{1}{2}$ godzin, jeden dobry myśliwy mógł zabić sztuk 17, nie zaniepokoiwszy dwa razy tego samego stada. To też już w dniu 1. Sierpnia od godziny czwartej rano tak gęsty był ogień w około naszego grodu, że chyba od czasu zdobywania go przez Szwedów takiej kanonady nie słyszano.

W miesiącu Lipcu r. b. na błotach wsi Błonie pod Łęczycą, zauważano parę kaczek nie znanego dotąd w tej okolicy gatunku. Samiec z tej pary, przez włościan wsi Błonie znaleziony został martwy pod drutem telegraficznym, który zapewne był przyczyną jego śmierci. Był ów samiec wielkości podgorzałki, z brzuchem i końcami skrzydeł białymi, wierzch czarny, połyskujący, szyja zielono-mieniąca się, czubek na łebku z kilku twardych włosów złożony, lecz co najoryginalniejsze, to dziób, który będąc w $\frac{2}{3}$ całej długości od obsady płaski jak u kaczki, zakończony był ostro, niemal jak u wrony. Dwa piórka w ogonie zakręcone ku górze. Towarzysz nieboszczyka zabawiwszy kilka jeszcze dni na błotach, odleciał do gościnniejszych krajów. Przyjemnie by nam było dowiedzieć się od szanownej Redakcyi o nazwisku tego szczególniejszego gatunku.

Wspomniawszy o drucie telegraficznym, nie od rzeczy będzie opisać nowy sposób polowania na kuropatwy, praktykowany przez chłopców wspomnionej wsi Błonie. Otóż pasąc bydło na ścierniskach rozdzielają się na dwie partye, z których jedna pozostaje przy bydle, druga zaś przeszedłszy trakt, uzbrojony drutem telegraficznym, łączącym Łęczycę z Kolem, wchodzi w buraki, wypłasza z takowych kuropatwy, które ciągną na ściernisko, zkąd znowu pozostali przepędzają je napowrót w buraki. W tej często powtarzającej się gonitwie zaślepione kuropatwy nie rzadko zabijają się o drut. Ja sam, znajdując się na polowaniu z nagonką we wsi Łęce, byłem świadkiem dwóch podobnych wypadków samobójstwa.

Walnych polowań w naszych stronach dotąd nie było jeszcze żadnych, lecz zapewne będą urządzone jak zwykle w każdym roku, a wtedy pospieszę donieść o rezultatach, które spodziewam się będą świetniejsze, jak w zeszłym sezonie.

Na zakończenie, z prawdziwą przyjemnością przychodzi mi zaznaczyć, że drobni dzierżawcy prawa polowania na gruntach włościańskich, o których pisałem w poprzedniej korespondencyi, przed kilku dniami połączyli się w jedno kółko. Związali się oni szczegółowym kontraktem, ograniczającym polowania: na kuropatwy od 1. Września do 1. Lutego, i na zające od 1. Października do Lutego. Celem tej szanownej spółki jest ochrona zwierzyny od nierozsądnego tępienia takowej przez zaprowadzenie systematycznych polowań, prześladowanie kłusowników i łapiących zwierzynę w sidła, w nyki i t. p. przyrządy. Przy zawieraniu kontraktów z włościanami zastrzegają sobie pod odpowiedzialnością sądową: nie podbieranie żadnym ptakom jaj i piskląt, oprócz drapieżnym i nie puszczanie psów w pole bez knebli, a od 1. Marca do 1. Września nawet i z kneblami. Spółka ta, posiada dzisiaj w dzierżawie prawo polowania ne gruntach włościańskich wsi: Parzyce, Ostrów, Czerchów i Katarzynów, czyli około 1800 morgów przestrzeni, a ma zamiar wydzierżawiać wszystkie okoliczne a przyległe już wydzierżawionym grunta włościańskie i drobne folwarczne. Do spółki przystąpić można złożywszy do wspólnej kasy na koszta dzierżawy i utrzymanie stróżów oznaczoną składkę, lecz poprzednio poddać się trzeba ballotowaniu.

W. Piekarski.

P. R. Porównawszy drukowaną korespondencyę z rękopismem, przekonujemy się, że istotnie wina wykazanych omyłek cięży na przepisywaczu. Szczerze dziękujemy za niniejszą, tak ciekawą korespondencyę. Opisany exemplarz kaczki trudno stanowczo zdeterminować, nie mając choćby cząstki jego pod okiem, opis dzioba wszakże wskazuje, że nie była to zapewne kaczka, lecz tracz hohol *(mergus merganser)*, także nuro-

*

gęsią zwany, którego ojczyzną północne kraje Europy, Azyi i Ameryki. U nas zwykle przebywa tylko w zimie, a z wczesną wiosną odlatuje, więc w lecie jest nader rzadkim. W celu stanowczego oznaczenia prosimy o przysłanie choćby skrzydła lub o bardzo dokładne opisanie.

Wasylówka (Ukraina).

Po słotach, jakie mieliśmy przez całe prawie lato, przy końcu Sierpnia rozjaśniło się i do połowy Września była prześliczna pogoda, która zachęcała myśliwych do rozpoczęcia polowania. W okolicy naszej wilki dawały znak życia w dość gęstych rewirach. Sąsiad mój Leon Podhorski, mając na swoich terytoryach parę gniazd tych szkodników, zaprosił kilku sąsiadów myśliwych, w których liczbie i ja na pogromcę tych rabusiów byłem proszony. Podhorski mając własny przyrząd myśliwski i gończe do wilka znakomite, innej psiarni nie potrzebował, moje dwie swory gończych kompletowały całą baterye myśliwską. Zjechaliśmy się na dzień naznaczony do wsi Brodeckie, w powiecie Berdyczowskim, gdzie gospodarz nas już oczekiwał. Ciekawą było rzeczą przekonać się, ile szansy mieć mogło polowanie jutrzejsze, toć kilku z nas pojechało wieczorem do kniei, by słyszeć, jaki będzie rezultat wabienia. Po pierwszym odezwaniu się myśliwego, o którym niżej słów parę powiedzieć muszę, odezwały się wilki w kilku miejscach — dość rozległej kniei. Muzyka tych głosów dodała animuszu myśliwskiego każdemu, a wróciwszy do towarzystwa, pozostałego w domu, mieliśmy temat do gawędy o dniu jutrzejszym, który miał być ostatnim dla wilków, tak smutnej katastrofy zapewne się nie spodziewających. Nazajutrz do dnia powtórzono wabienie, a gdy wilki powtórnie się odezwały, rzucono siecie, kulec z kulcem tak, że myśliwym wypadło zajmować stanowiska we środku kniei, gdzie wilki musiały okładać przed psami i ledwie że nie przed każdym strzelcem. Trąbki się odezwały: posypały się strzały, — a tych było 42, myśliwym wesoło było, a zwierz ostatnią swą godzinę rachować musiał. W tej kniei ubito wilków 10, lisów 7 i zajęcy 2; dwa zaś wilki, do których strzelano, sieć zwaliły i do drugiej kniei przemknęły. Gdy siecie zabrano a do wieczora parę godzin jeszcze zostawało, uważaliśmy za możebne knieję, w której zbiegi się ukryły, bodaj z huczkami bez sieci zabiedz i też same wilki jeżeli się uda zabrać, co się też ziściło, bo po godzinie obydwa zuchwalce strzałom uległy i dokompletowały trofea dnia tego. O ile trudno jest położyć wilka na miejscu, przytoczę fakt, któregośmy świadkami byli. Wowyra nie stara nawet, na kroków 80, wyszła na Franciszka Potockiego i stanęła bokiem, wysłuchując gdzie psy gonią. Potocki mając strzelbę nabitą lotkami, niedowierzał strzałowi i tyle miał zimnej krwi, że z wielką ostrożnością ładunki z lotkami wyjął, a kule założył, poczem strzelił i trafił wilka w środek komory na wylot, kiszki wisiały przy wylocie, a jednak wilk powlókł się do kniei, jeszcze przebiegł kroków półtorasta i padł martwy a dojeżdżacze zaraz go odszukali. Dzień ten był dla nas dość pomyślnym, lecz ludzie nie zadowalniają się tem, co ich już bawiło, zachęceni raczej użytą przyjemnością, pragną nowej, tak też każdy z nas pragnął dzisiejsze tak przyjemne wrażenie powtórzyć i oczekiwał dnia następnego, by swoim zachciankom dogodzić. Przebawardowaliśmy wieczór; a nazajutrz myśliwy Podhorskiego, Piotrowski, sławny wabiciel i tęga osobistość, oznajmił nam, że w drugim majątku Podhorskiego, odległym o werstw 20, są już obwabione wilki. Co prędzej wrócił napowrót, by miot obrzucić sieciami. My również, posiliwszy się śniadaniem, o godzinie 10tej podążyliśmy do kniei, a gdy zajęliśmy już swoje stanowiska, odezwały się trąbki i harapy, posypały się też i strzały. Stare wilki zwyczajnie pierwsze wynoszą się z kniei, im też najpierwej się dostało. W krótkim przeciągu czasu ubito cztery wilki, a jeden strzelany i mocno ranny przerwał sieć i umknął z kniei; zapewne już zginąć musiał. Psy na chwilę gonić nie przestawały, bo siedem lisów i kozioł kręciły się w kniei, póki nie spotkał ich tenże los co i wilków, zajęcy 3 także padło ofiarą. A więc ubito w ciągu tego polowania wilków 16, lisów 14, zajęcy 4 i 1 kozła, razem sztuk 35.

Takie polowanie w naszych okolicach uważane jest za bardzo świetne i dla myśliwych chlubne, przesyłam więc sprawozdanie o nim „Łowcowi".

Antoni Rokszyc Zapolski.

Z Wileńskiej gubernii.

Przesyłam krótkie sprawozdanie o roku ubiegłym (myśliwskim). W zimie z powodu braku śniegów, polując na granicy Mińskiej i Wileńskiej gubernii, w lasach hr. Jana Tyszkiewicza, nie bardzo nam się udawało coroczne polowanie na wilki. Polujemy tutaj co zimę na śniegu na otropionego, lecz z powodu małej ilości śniegu i ciągle srokatego pola nie wiodło się, bo wilków padło tylko sześć sztuk i dzik jeden, rzadkość w tamtych stronach. Na łosie nie braliśmy miotów, a rysia starego i ogromnego wzięły cztery taxy na leśnej polance. Rzadko już gdzie zapewne polują w taki jak tutaj sposób. Przestrzeń 30 tysięcy hektarów lasu powinna być z obowiązku po każdej poroszy lub odeldze dokładnie otropioną, a w razie, gdy jest w którym rewirze choć jeden wilk, rzuca się wszelką inną zwierzynę, leśnik daje znać innym, zbierają w najbliższych wsiach obławę, dają znać do dworu i wszystko co żyje rusza na wilka. Z powodu bardzo wielkich odległości polowanie takie rzadko się przed południem zaczyna, rusza się jednak ostro i często dwie knieje o kilka mil od siebie odległe w jednym dniu spolować można. Krótkie to polowanie, o zającach ani myśleć, bo obława stoi na miejscu i krzyczy a wilk ruszony jak wicher niesie się na strzelców, kilka strzałów pada i polowanie skończone. Lecz co to za uczucie strzelca widzieć kolosalnego puszczowika, jak w szalonych susach sadzi po głębokich śniegach z lampami wytrzeszczonemi naprzód, włosem na grzbiecie stojącym, wypatrującego myśliwych za drzewami cicho stojących! Co za rozkosz, gdy prosto na strzał czesze jak szalony w sążniowych skokach! A cóż dopiero gdy po dobrym strzale, wywraca się przez łeb jak zając na miejscu? Przy nastaniu kniejowego polowania, zwykle wieszam śrutownicę na kołek, by spokojnie oczekiwała zielonego pola, a poluję ze sztućcem, trafiło mi się więc raz, że wilka idącego w największym pędzie po strzałach, trafiam kulą szpiczastą pod łopatkę, poprawiam z drugiej lufy okrągłą, a wilk idzie. Byłem pewny żem zgorącował, po 100 krokach jednak wilk od razu padł na miejscu. Był to kolosalny łupur i obie kule dostał śmiertelnie, tylko obie przeszły na wylot i to było powodem, iż szedł dalej. Zimowe więc polowanie źle się powiodło, postanowiłem je choć na wiosnę na tokach głuszców poprawić. Próżne marzenia! Mimo wielkiej ilości głuszców jednego tylko podskoczyłem, drugiego w podskakiwaniu spłoszyły mi z przed nosa łosie marudery i na tem

koniec. Z jednym więc głuszcem jak niepyszny do domu wrócić musiałem, bo śnieżna i wietrzna pogoda zmuszała do odwrotu szybkiego. I dubelty nie dopisały w tym roku. W pierwszych dniach Lipca nalot ślicznie się obiecywał, i już bywały dnie, że po 20 sztuk w kilku godzinach zabijałem, polowanie się poprawiało, raptem dzień siedmiu braci śpiących przyniósł długą słotę, łąki zalało i bal się skończył. Cietrzewi było wiele, kuropatw więcej jak w innych latach, a pardw niestety co roku mniej się pokazuje. Wkrótce mamy się z Mysiem zobaczyć, do widzenia więc po tem ciekawem dla mnie spotkaniu.

P. S. Stawiam jeszcze dwa zapytania, na które mam nadzieję, iż redakcya lub ktoś czytający odpowiedzieć zechce. Na Litwie nawet między światłymi myśliwymi jest rozszerzone mniemanie, że zając lub bielak w czasie parkotni wrzeszczy to jest huka jak sowa. Mimo moich silnych zaprzeczeń, wszyscy mi to tłómaczą jako pewnik i są tacy, co twierdzą, że udało im się zwabić zająca w taki sposób. Drugie pytanie co do psów, na które może człowiek fachowy odpowie, a mianowicie czy prawda, że pies wyczyszczony (wykastrowany) nie podlega wściekliźnie? Raczą mi sz. czytelnicy „Łowca“ na te dwa pytania dać odpowiedź. *Józef Brykczyński.*

P. R. Że zając podczas parkotni wydaje głos, jest rzeczą pewną, głos ten wszakże nie jest tak donośnym, iżby podobnym był do huku sowy, jest on raczej głośnem mruczeniem wabiącem i zowie się w terminologii dawnej łowieckiej m u s k a n i e m, który wyraz już sam przez się świadczy o niewielkiej jego doniosłości. Wiadomo, że pies nie mogący zaspokoić popędu płciowego, łatwiej jak inny podlega wściekliźnie, u psa wykastrowanego popęd ów nie odzywa się tak silnie, iżby do szału mógł doprowadzić, więc z tego powodu mniej skłonnym jest do tej choroby, ale czy inne powody jej wywołać nie mogą, o tem stanowczo twierdzić nie można. To wszakże jest pewne, że pies wykastrowany traci wszelkie swoje zalety, najlepiej przeto pozbyć się go i nie robić doświadczenia, czy się wścieknie lub nie.

Podkamień w Grudniu.

Chciałbym opowiedzieć czytelnikom „Łowca“ niezwykłe wydarzenie myśliwskie, którego byłem niedawno nie tylko widzem ale i aktorem. W połowie Listopada polowaliśmy w Pieniakach u hr. Włod. Dzieduszyckiego. Jadąc rano do lasu w licznem myśliwskiem gronie, ujrzeliśmy przejeżdżając przez groblę, na niezamarzniętej jeszcze części Pieniackiego stawu, liczne stado dzikich kaczek w odległości kilkuset kroków. Tadeusz hr. Dzieduszycki, posiadający znakomitą trzylufkową strzelbę wyrobu Molnara, oświadczył pierwszy, że dla próby strzeli do stada z expressa. Ja przyłączyłem się też do niego, niemniej też i pan Zbyszewski. Słyszeć się dały natychmiast protestacye wszystkich kolegów myśliwskich, narzekania na niepotrzebną stratę czasu, zdawało się bowiem niedorzecznością na tak bajeczną odległość strzelać choćby z expressa. Pomimo tego nasze trzy expressowe lufki zmierzyliśmy do stada i wszyscy trzej wystrzeliliśmy na komendę. Gospodarz polowania dalekowidzem patrząc na stado, po naszych strzałach pierwszy zawołał: „Trzy kaczki leżą!“ Nikt wierzyć temu nie chciał, odległość bowiem była tak wielką, że gołem okiem zabitych kaczek dostrzedz nie byliśmy w stanie. Dalekowidz biegać zaczął od oka do oka myśliwych i wreszcie wszyscy sprawdzili w rzeczywistości istotę tych szczególnych strzałów. Wysłany stawniczy z czółnem, łamiąc lód, który już nie małą mu czynił zaporę, dostał się nareszcie do niezamarzniętego miejsca i podniósł owe trzy kaczki, z których każda przeszytą była expressową kulą. Leżały one w znacznej od siebie odległości tak, iż nieprzypuszczalnym jest przypadek, ażeby od jednej lub dwóch kul wszystkie te trzy kaczki były zabite. Odległości jaka nas od przedmiotu dzieliła, w przybliżeniu nawet ocenić nie śmiem. Z trzylufkowych strzelb, które tych dziwnych strzałów dokonały, dwie są wyrobu Molnara, a jedna wyrobu Nowotnego. Od trzech lat używając w kniei tylko trzylufkowej strzelby wyrobu Molnara, sumiennie wyznać mogę, iż w życiu dowodniejszej broni nie miałem w ręku. Będąc w posiadaniu od lat wielu broni najpierwszych fabryk angielskich, francuskich i niemieckich, po dokładnem ich wypróbowaniu ostatecznie doprowadziłem do tego, iż się one gdzieś rozbiegły po świecie, lub przeszedłszy w stan dobrze zasłużonego spoczynku, teraz wiszą w mojej zbrojowni, a tylko trzylufki Molnara używane bywają do myśliwskich zapasów. Słusznie podnoszą się ze wszech stron głosy pomiędzy moimi kolegami myśliwskimi, iż trzylufkowe strzelby często zawodzą. Nie przeczę temu, gdyż sam tyle razy byłem tego naocznym świadkiem. Powodem tego jest jednak, wedle mego przekonania fałszywy system szpery, umieszczonej z boku przy kurku. W ostatnich czasach widziałem kilka strzelb podobnych wyrobu Nowotnego i Springera, na które właściciele się użalali, że często zawodzą. Nie jest to więc winą firmy, ale fałszywego systemu. Moja strzelba jest systemu Sauera, ze szperą na górze osadzoną, między kurkami. Ten system uważam za najlepszy. Przez trzy lata polując ciągle z tą strzelbą, nigdy zawodu nie doznałem, a jednak ciągle strzelając z niej expressowemi kulami w lecie dla ćwiczenia do drapieżnego ptactwa, na podjazdach i t. d., w ciągu trzech lat nie małą ilość kul z niej wystrzelałem. Zdemoralizowanym więc niepowodzeniami kolegom moim w Nemrodzie na podstawie mego długoletniego myśliwskiego doświadczenia, najserdeczniejszą daję radę, niech się nie zniechęcają do trzylufkowych strzelb z powodu, iż czasem zawodzą, bo to jest winą tylko fałszywego systemu bocznej szpery, ale niech broń swoją przerobić każą na system Sauera lub na system również praktyczny łamanego kurka, a wtedy pewnie z broni swej zadowoleni będą. Mam to przekonanie, iż broń nasza teraźniejsza jest tak doskonałą, że dalsze wydoskonalenia są dla myśliwstwa rzeczą zbyteczną. Wszystkie systemy broni aż nadto wystarczają dla naszych potrzeb, byleśmy tylko z nich godnie korzystać umieli, a zamiłowanie systemu jest tylko rzeczą gustu myśliwego. Niechże tylko żaden myśliwy nie narzeka na swoją broń i nie składa na nią wszelkie winy za swe niepowodzenia myśliwskie. Każdy dobry myśliwy po kilku strzałach obeznać się powinien ze swoją bronią, jeśli jest lichą w istocie, zaraz ją odrzuci a postara się o inną. Niech tylko — dla Boga! — po wielu strzałach nie składa spudłowania n. p. na kilkanaście kroków do dzika lub niedźwiedzia na karb niedokładności swej broni, bo wtedy sam sobie daje „*testimonium paupertatis*“. Wtedy się przysłowie nam przypomina „że złej tanecznicy fartuszek na zawadzie“. Co wolno Niemcom tego nam nie wolno! Jeśli zawiedzie broń Nowotnego, Springera i t. d., to jest wypadek, o którym nikt nie wspomina, lecz jeśli zawiedzie broń krajowego wyrobu, jest to zbrodnią jej fabrykanta. Takie są u nas zasady — niestety!

Leopold hr. Starzeński.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków Towarzystwa łowieckiego:

Czartoryski Zdzisław książe.
Horodynski Onufry.
Kijas Henryk.
Kurnatowski Edward.
Kurnatowski Zygmunt.
Misko Józef.
Starzeński Henryk hr.
Wojnarowski Władysław.
Wolański Władysław.

Z Podolskiej gubernii.

Do czego może doprowadzić staranne opiekowanie się zwierzyną, pomimo że żadne prawa ochronne tu nie istnieją, tego złożył nam dowód pan Jan Brzozowski. Zaprosiwszy do siebie krewnych i przyjaciół na 21. Listopada starego stylu, przyjął nas z tą staropolską gościnnością i szczerością, które są każdemu pamiętne, kto tylko raz zawitał do Popieluch. Gospodarz gościnny w domu był także nim i w kniei. Polowanie było rozłożone na 6 dni, cztery w lesie z naganką i dwa dni podjazdu na rogacze, kulami. Rezultat przeszedł moje oczekiwania, chociaż znaną mi była opieka, jaką pan Brzozowski od dziesięciu lat otaczał zwierzynę. Zabiliśmy w czterech dniach z naganką w lesie 247 zajęcy, 11 lisów i 7 kozłów, na podjazdach kulami 5 kozłów tylko, gdyż w drugim dniu czas był szkaradny i sarny tak się skryły w gąszczach tajemniczych, żeśmy ich żadną miarą nawet zoczyć nie mogli. Przy tak świetnym wyniku polowania trzeba i to jeszcze zauważyć, że dwa razy tyle zajęcy w lesie pozostało, po części z powodu chybnych strzałów, najwięcej zaś skutkiem odwilży. Smutna tylko jedna myśl się nasuwa, że gdyby w tak żyżnym kraju wszyscy obywatele chcieli pana Jana Brzozowskiego naśladować; to dobrze by z tem było i dla nas myśliwych i dla kraju, któryby się łatwo mógł zrównać z Czechami i nie małe korzyści ztąd ciągnąć. Lecz niestety jeden to tylko zaszczytny wyjątek. Oby drudzy zachęceni takiem powodzeniem zechcieli w ślady pana Brzozowskiego wstępować. *St. hr. Wodzicki.*

Popowce pow. Starokonstantynowski.

Mamy i my dzielnych myśliwych, oto 14. Listopada pan O. E. święcił jubileusz ubitej trzechsetnej sztuki zwierzyny w tym roku, a rezultat ten w zestawieniu z rokiem ubiegłym świadczy wymownie, jak szybkim krokiem zbliża się nasz jubilat do ideału sztuki myśliwskiej. Rozłóżmy przed okiem naszej wyobraźni owe tegoroczne trofea myśliwskie pana O. E., a będziemy mieli prawdziwie piękny widok. Oto stos kuropatw złożony z 59 sztuk, to znowu długodzióby ród bekasi istną formuje górę, a obok niego powabny widok 129 kszyków, 21 dubeltów, 42 przepiórek, 11 chruścieli, 8 zajęcy i innej drobniejszej zwierzyny. Dodać należy, że w rachunek wchodzą tylko sztuki podjęte, lecz nie zatracone. Wiadomo, iż jedną z głównych perfekcyi myśliwskiej są strzały dubletowe. Nie brakuje ich w chwalebnej tegorocznej kampanii naszego jubilata. W działalności jego myśliwskiej zdumiewające są zręczność i wytrwałość. Ani błyskawice i wody niebieskie, ani częstokroć cienie nocne nie powstrzymują jego zapału. Bywałem nie raz świadkiem jego trudów, raz n. p. mieliśmy już kilka kuropatw, w tem poczęło się chmurzyć, nawet deszcz już drobniutki kropił, więc mieliśmy już wracać do domu. Panie już odjechały dawno, wsiadamy do wózka i ruszamy szparko, ale po drodze jawi się nam wielce obiecująca rudka. Mimo rzęsistego już deszczu pan E. proponuje spróbowanie rudki. Jakkolwiek ów projekt nie zachwycił mnie wcale, odpowiedziałem mu przez grzeczność miną człowieka, któremu tylko tego do szczęścia brakowało. Jedziemy tedy na rudkę śród istnej nawalnicy, z zazdrością patrzę na furmana, który płaszczem i kapturem doskonale się od niej zabezpieczył. Z rudy poczęły się odzywać nader miłe w innych warunkach głosy: „pójdź dalej! tout beau! nazad!“ Z smutną rezygnacyą przysłuchiwałem się temu, aż wreszcie pogoda stała się tak rozkoszną, że nawet Pudło (wyżeł pana E.) nie chciał „iść dalej“, i wtedy dopiero ulegając sile konieczności siadł pan E. do bryczki, naturalnie przemoknięty do nitki. Ztąd możecie wnosić sz. czytelnicy, jak ciężkim jest chleb myśliwego, gdy nań sumiennie i gorliwie pracuje!

Nad brzegiem oczeretu klęczało kilkanaście postaci w pewnem oddaleniu od siebie, z odkrytemi głowami, z odwiedzionymi kurkami. Było to polowanie na lisa. Dwa stanowiska różniły się nieco od innych, miały bowiem po dwie osoby, na jednem z nich stała obok myśliwego powabna nowicyuszka w kunszcie łowieckim, która przez wzgląd na bezpieczeństwo publiczne przyrzekła nabijać strzelbę dopiero w chwili, gdy się lis pojawi. Na drugiem zaś stanowisku za plecami pana E. klęczał z flobertem w ręku warszawski Nemrod, który już był doszedł do zupełnej perfekcyi w umiejętności — powolnego spuszczania kurków. Pogoda była prześliczna, ani jednej chmurki na niebie, nawet najlżejszy wietrzyk nie poruszał wierzchołków oczeretu. Gończe grały już dawno i widocznie nawracały zwierza ku myśliwym. Cisza pozwalała już nawet słyszeć lekki szelest między trzciną. Myśliwi położyli palce na cyngle i oddech niemal tamując oczekiwali pojawienia się zwierza. Silny szelest odezwał się w trzcinie, już nawet można było dojrzeć coś nakształt lisiego ucha, sekunda jeszcze, a zwierz wytknie z oczeretu. Pan E. przykłada już strzelbę do twarzy, już ma pociągnąć za cyngiel, w tem po za nim rozlega się przeraźliwe kichnięcie..... „Ha! trudno“ — usprawiedliwiał się z flegmą sprawca tej zbrodni

Nos, to nie sługa, nie zna, co to pany,
Nie da się okuć w milczenia kajdany.

S. Ł. stały prenumerator z Wołynia.

Pismo „Pomoc własna“, wychodzące w Kołomyi, donosi: „Wydział Towarzystwa myśliwych ukonstytuował się, wybierając prezesem Jana Kozakiewicza, zastępcą tegoż Józefa Domaina, a członkami Szaprowskiego, Smrżę i Stetkiewicza“. Czy tu mowa o Towarzystwie myśliwych w Kołomyi, zawiązanem 5. Marca 1884., czy też o nowem? W ostatnim razie prosimy o bliższe szczegóły.

Na polowaniu odbytem dnia 14 grudnia w lasach łac. kapituły lwowskiej padło 33 zajęcy i 5 kozłów. Myśliwych było 16, miotów wzięto 7.

Wniosek posła Abrahamowicza w sprawie noweli do ustawy łowieckiej brzmi: „Zważywszy, iż obowiązująca ustawa łowiecka z d. 30. stycznia 1875 jakkolwiek przyczynia się corocznie do podniesienia stanu zwierzyny i dziczyzny w kraju naszym, jednakowoż nie zapobiega jeszcze dostatecznie niszczeniu tychże, przy mało ograniczonej wolności polowania, a zwłaszcza nieograniczonem prawie noszenia strzelb na otwartem polu, skoro posiada się kartę uprawniającą (Waffenpass) do ich posiadania;

zważywszy dalej, iż w skutek tego stanu rzeczy, prawa dzierżawy polowania na obszarach gminnych, bądź w regule za nader niską kwotę oddawane bywają, lub wcale odbiorców nie znajdują, przezco gminy narażone są na ubytki w dochodach własnych;

zważywszy wreszcie, iż oddawna już obowiązujące ustawy o kartach myśliwskich w innych krajach koronnych, a zwłaszcza w Styryi, Tyrolu i Czechach, nietylko przyczyniły się bardzo stanowczo do podniesienia stanu zwierzyny i dziczyzny w tych krajach, lecz nadto dostarczają znacznych dochodów funduszom krajowym. — Czynię wniosek:

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

a) Poleca się Wydziałowi krajowemu, by na najbliższej sesyi sejmu krajowego przedłożył projekt noweli do krajowej ustawy łowieckiej, na mocy której wprowadzoneby zostały karty myśliwskie, uprawniające jedynie do polowania i noszenia na otwartem polu wszelkiego rodzaju strzelb myśliwskich;

b) Od kart myśliwskich pobieraną być ma opłata roczna na rzecz funduszu krajowego;

c) Od uiszczenia opłaty od kart myśliwskich uwolnioną być ma zaprzysięgła służba lasowa.“

P. R. Uwagi nasze dotyczące tego wniosku umieścimy w następnym numerze.

Otrzymaliśmy do rozpowszechnienia następującą odezwę:

Już dawno uznajemy potrzebę czasopisma fachowego poświęconego umiejętnościom weterynarskim. Prace polskie w zakresie tych nauk rozrzucone są w rozmaitego rodzaju pismach, a przeważnie w lekarskich i gospodarskich. Wielu też rodaków, pragnąc wynikami swych badań i spostrzeżeń podzielić się z kolegami swego zawodu, widzi się spowodowanymi ogłaszać swe prace w obcym języku, w czasopismach weterynarskich niemieckich, francuskich lub rosyjskich.

Zjednoczyć te wszystkie rozrzucone siły i skupić prace nasze w jednem czasopiśmie, jest rzeczą pożądaną i tem pożyteczniejszą już z tego powodu, iż takie czasopismo fachowe także niejednego z kolegów zachęci do pracy literackiej, a przedstawiając zarazem w streszczeniu postępy nauk weterynarskich, zastąpi w ręku naszych weterynarzy obce tego rodzaju pisma, a zarazem w obronie stanu, któremu ze względu na

naukowe wykształcenie i na ważne zadania. jakie spełnia, pracując na pożytek gospodarstwa i dobrobytu krajowego, należy się poważne w społeczeństwie stanowisko.

Urzeczywistnieniu tej myśli stała dotąd na przeszkodzie ta okoliczność, że nie było ogniska, około którego mogłyby się zespolić usiłowania naukowe naszych weterynarzy.

Gdy zaś obecnie czasopismo poświęcone umiejętnościom weterynarskim znajdzie oparcie w założonej niedawno we Lwowie „Szkole weterynaryi", przeto grono weterynarzy lwowskich, widząc tym sposobem zabezpieczony byt takiego pisma, postanowiło już obecnie rozpocząć wydawnictwo pisma miesięcznego poświęconego weterynaryi i hodowli zwierząt domowych, pod tytułem: „Przegląd weterynarski", i w tym celu wybrało komitet redakcyjny, w którego skład wchodzą profesorowie szkoły weterynaryi: Dr. Antoni Barański jako naczelny redaktor, Dr. Henryk Kadyi, Dr. Józef Szpilman, a z po za grona szkoły Józef Kubicki weterynarz miejski i docent wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, i Aleksander Littich c. k. weterynarz krajowy.

„Przegląd weterynarski" będzie wychodził początkowo raz na miesiąc w objętości co najmniej jednego arkusza druku. Przedpłata wynosi 3 złr. rocznie.

Licząc na poparcie interesowanej P. T. Publiczności, a przedewszystkiem pp. Weterynarzy, komitet redakcyjny ma zaszczyt upraszać niniejszem Szanownych Kolegów zawodowych i wszystkich, którzyby zechcieli współpracownictwem swojem przyczynić się do rozwoju naszego pisma, aby zechcieli podać swoje adresy komitetowi, który pragnąłby wejść z nimi w porozumienie konieczne dla wydawnictwa „Przeglądu weterynarskiego".

Lwów, we wrześniu 1885 r.

W imieniu Komitetu redakcyjnego
Prof. Dr. A. Barański
Lwów, ulica „na Rurach" 31.

Według doniesienia „Gazety Lwowskiej" rozesłało c. k. Namiestnictwo do starostw następujący okólnik:

„Z niektórych okolic kraju wpłynęły w ostatnich czasach zażalenia gmin z powodu wzmagania się stanu drapieżnej zwierzyny, mianowicie dzików i niedźwiedzi, które w skutek rzadkiego urządzania obław i nieprawidłowego wykonywania prawa polowania, względnie w skutek nadużyć, jakich się pod tym względem uprawnieni do polowania często dopuszczać mają, wyrządzają znaczne szkody w plonach, szczególnie na gruntach włościańskich. Wpłynęły również zażalenia z powodu zbyt powolnego toku spraw o wynagrodzenie powyżej wspomnianych szkód nawet w wypadkach, w których to według obowiązujących przepisów nastąpić może i powinno. W skutek tego wezwani zostają starostowie, aby z wszelką ścisłością i z całą energią czuwali nad wszechstronnem przestrzeganiem obowiązujących przepisów o prawie polowania, a w razie spostrzeżenia uchybień, któreby w następstwie spowodować mogły niebezpieczne dla gospodarstw pomnożenie zwierzyny drapieżnej, bezzwłocznie wystąpili z skutecznymi środkami zaradczymi. Dalej wezwani zostają starostowie, aby także przez energiczne zarządzenie obław w porze właściwej i zaraz po okazaniu się potrzeby, zapobiegali mnożeniu się zwierząt drapieżnych w ogóle, a dzików i niedźwiedzi w szczególności. W końcu, polecono, aby w sprawach o wynagrodzenie szkód w plonach przez drapieżną zwierzynę wyrządzonych, władze z wszelką ścisłością i należytym pospiechem zastosowały do osób, na których w tej mierze odpowiedzialność cięży, postanowienia §§ 3, 4 i 15 cesarskiego patentu z r. 1786 o polowaniu, oraz §§ 11 i 12 ces. patentu z d. 7. Marca 1849 (dz. u. p. nr. 154).

W dniach 3. 4. i 5. Grudnia polowano w Pawłosiowie, majątku hr. Wilhelma Siemińskiego i ubito w 17 strzelb 251 zajęcy, 10 rogaczy i 12 lisów.

Jasień 28. listopada 1885.

Dnia 5. listopada 1885 wybrał się tutejszy strzelec Wasyl Moryc wcześnie rano w las zwany „pod Zapłatą", aby dopatrzeć, czy też nie włóczą się znowu wilki i nie polują na jelenie, które w porze zimowej spuszczają się z okrytych bujną i smaczną paszą połonin i szukają żeru i schronienia przed burzą i zamiecią w zacisznych i niżej położonych miejscach rozległych lasów Jasieńskich. Wnet dotarł do zwykłej ostoi jeleni na pięknej wśród lasu polance, a że w postołach stąpał cicho i uważnie, więc nie spłoszył jeleni, mianowicie jednego dwunastaka, a drugiego słabszego, wietrzących na wszystkie strony. Przez chwilę przypatrywał się z przyjemnością królowi naszych lasów. ale nagle jelenie dostrzegłszy zapewne zbliżającego się nieprzyjaciela, pomknęły w szalonym pędzie w gąszcz. Wasyl stał pod wiatrem, nie mógł być zwietrzony, przypuszczał obecność wilka, stanął przeto przy zakrywającym go ogromnym świerku wyczekując, ażali się nie zbliży ów rozbójnik na strzał. Po krótkiej chwili zjawia się ogromny ryś. Jednym strzałem położył go Wasyl na miejscu, ale nie opuszczał swego stanowiska, spodziewając się drugiego rysia. Jakoż wkrótce pojawił się młody ryś, który też padł pod celnym strzałem Wasyla. Nie ruszył się on z miejsca i zaledwo zdołał zmienić ładunki w swej Lefoszówce widzi starego rysia, dążącego prosto ku swym martwym towarzyszom z żałosnem warczeniem. Wasyl posłał mu kulę, ale chybił, ryś pomknął po strzale kilkanaście kroków, po chwili stanął, zwrócił się, warcząc nieustannie, ku trupom i wietrzył je ze wszystkich stron. Wasyl strzelił do niego po raz drugi, ale znowu chybił zapewne w skutek gorączki myśliwskiej. W zdarzeniu tem jest rzeczą ciekawą, że ryś mimo swej przyrodzonej przezorności i płochliwości zwracał się po strzale do ubitych towarzyszów. Zabite rysie były samice, matka miała 120 cm. długości, 65 cm. wysokości, córka 85 cm. dł. 46 cm. wys. Oba okazy bardzo pięknie centkowane. W tym samym dniu spuścił Wasyl krążącego nad nim w nieznacznej wysokości orła skalnego, należącego u nas w górach do rzadkości.

Józef Flechner, c. k. rządzca dóbr państwowych.

Zarząd lasów majątku Mrażnica i Kropiwnik wniósł dnia 7. Grudnia z. r. do c. k. Starostwa w Drohobyczu następującą relacyę: Jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że ustawa z r. 1875, dotycząca szanowania i strzelania zwierzyny jest zbawienną dla jej pomnożenia, jeżeli bywa ściśle przestrzeganą, to z drugiej strony jest także rzeczą pewną, że owa ustawa odnosi się raczej do myśliwych, a nie do zwierząt drapieżnych, mianowicie rysiów i wilków, a właśnie dwa te gatunki, szczególnie rysie, są dla innej zwierzyny najgroźniejsze i mogą w krótkim czasie cały zwierzostan, osobliwie sarny, do szczętu wyniszczyć, na dowód czego niech służy następujący fakt. Na początku r. 1885. miałem w rewirze Mrażnica dosyć ładny, jak na ową miejscowość, niepokojoną ruchliwą fabryką oleju skalnego, stan sarn, bo składający się najmniej z 80 sztuk, nie uwzględniając rewirów sąsiednich Schodnica księcia Schwarzburg-Sonderhausen, Opaka barona Liebiega, Popiele Mikołaja Krzysko, Nołmiawice i Tustanowice wys. Kamery. Uważałem już na wiosnę, że stan sarn widocznie a nawet przerażająco się zmniejsza, nie mogłem na razie dójść przyczyny tem bardziej, że kłusownictwa u nas nie ma, dopiero przypadkiem 30. Listopada odkryłem właściwą przyczynę, gdy moje jamniki w jednym zagajniku poczęły zajadle naszczekiwać. Na ten głos nadbiegł dozorca lasu Tomasz Szabla i spostrzegł trzy rysie, z których ubił ogromną rysicę, dwa zaś umknęły i zapewne schroniły się na drzewa, a że to było na szarej stopie, przeto wszelkie dalsze prześladowanie stało się niemożliwem. Po dokonanej sekcyi przekonałem się, że żołądek ubitej rysicy wypełniony był świeżą, niestrawioną jeszcze sarniną. Że trzy rysie potrafią całą sarnę zeżreć, nie podlega wątpliwości; przypuszczając, że taka banda rabusiów co drugi dzień jedną sarnę pożera, wynika ztąd wniosek, że w przeciągu roku ubędzie najmniej 180 sztuk. A więc zagadkowa tajemnica znikania sarn odsłonięta i jasna, nie dziwię się przeto, że z mego ładnego stanu sarn pozostały tylko resztki w ilości ledwie 5 sztuk, które ostatecznie padną także ofiarą żarłoczności wskazanych rabusiów. Po dokładnem zbadaniu stanu rzeczy, przekonałem się, że taki sam los spotkał sarny w sąsiednich rewirach. Obecnie jest sarna u nas już rzadką, a jeśli się złemu wcześnie nie zaradzi, zniknie ostatnia sarna. Mam nadzieję, że c. k. Starostwo, jako Władza powołana do strzeżenia ustaw, uwzględni moje doniesienie i w porozumieniu z zarządami lasów kameralnych i właścicielami obszarów leśnych zarządzi skuteczne środki wytępienia zupełnego tych najgroźniejszych dla zwierzostanu w ogóle, a szczególnie dla sarn, drapieżników. Ja z mojej strony zaprzysięgłem im zagładę bez litości, lecz cóż ja sam mogę zrobić: niech więc za moim przykładem pójdą inni myśliwi w sąsiedztwie. Jeżeli c. k. Starostwo innego środka wygubienia tych rabusiów nie postanowi, niech przynajmniej dozwoli bezwzględne ich prześladowanie, z wyłączeniem kłusownictwa. Ja z mojej strony nic nie mam przeciw temu, iżby nawet wszyscy sąsiedzi moi wpadli do moich rewirów w celu doszczętnego wytępienia rysiów.

Münzger.

W korespondencyi p. Juliana br. Brunickiego w numerze grudniowym, należy dodać między słowami: „10 kroków po lewej ręce" i „usiadł" następny opuszczony ustęp: „myśliwy kłapnął z obu lufek, co tylko tyle na jego *vis-a-vis* podziałało — że lis z lewej strony skoczył na prawą".

Z pod Zbaraża.

Mam lasek ośmiomorgowy, mało w nim drzew dużych, ale dobrze podszyty, jest on więc zbiornikiem a raczej schroniskiem wszystkich

zajęcy w okolicy, prześladowanych przez charty i strzelców. Rozumie się, że lasku tego strzegę staranniej, jak marcowy kawaler resztek swojej niegdyś bujnej czupryny. Nie rąbię w nim i nie poluję, chyba już w koniecznej potrzebie. Mam sąsiada, trzymającego kilka smyczy chartów. jakiej one dobroci, najlepszem świadectwem, że zające na jego i moich polach, nie wzbraniam mu bowiem tej korzystnej dla mnie rozrywki, doprowadziły uciekanie do mego lasku do wysokiej perfekcyi. Żaden angielski trener nie wytrenuje tak konia, jak owe charty okoliczne zające. Na dziesięć ściganych zajęcy ginie jeden lub co najwięcej dwa, i to kpów, resztę odprowadzają te charty z paradą do mojej kniejki. Z końcem Października b. r. mając u siebie miłych gości urządziłem dla nich niezwykłe w swoim rodzaju polowanie na zające. Dwudziestu trzech chłopaków wysłałem w pola, a myśliwych postawiłem u skraju lasu. Począł się gon, każdy szarak pomykający przed hałasującą zgrają czesze wprost na moich myśliwych i ginie od ich strzału. Tym sposobem ubito w krótkim czasie 9 zajęcy i 1 lisa, który zaspał sprawę i nie wyniósł się wcześnie. Chybiano też nie mało. Kuropatw mam dwa stadka około 15 sztuk. Gdy śniegi spadną, wyłowię je pod rozjazdem, a na wiosnę wypuszczę parkami. Oby wszyscy panowie charciarze mieli takie jak mój szanowny sąsiad psy, nie czyniłyby myśliwstwu naszemu tak dotkliwej szkody i więcej mielibyśmy zwierzyny, dla której dobre charty są straszną plagą. *K.*

Z nad Sanu.

Nie tak to dawniej w ziemi Sanockiej bywało! Aha! — powie czytelnik — już stary zrzędzić poczyna. Oj lepiej dawniej bywało! — ja jednak powtórzę, odwołując się wreszcie do zdania czytelników „Łowca“. Czy to słyszane, żeby w czasie długiej i pięknej tegorocznej jesieni ani jedno znaczniejsze nie odbyło się polowanie w kniejach naszych, w których stan zwierzyny większy obecnie niż niegdyś Ja, co jako myśliwy emeryt zawsze się skrzętnie o łowach wywiaduję, nie wiem o żadnem, nie ma też żadnej wzmianki o jakiemkolwiek w „Łowcu“, którego czytam pilnie. Dawniej nie było takiego pisma, więc wyniki łowów wraz z szczególniejszemi zdarzeniami krążyły tradycyonalnie po ziemi naszej i przechowały swój urok aż do dnia dzisiejszego. Wyginęli w ziemi Sanockiej myśliwi starego autoramentu, toż nie ma o nich wieści w „Łowcu“. Dziś każdy wbrew zwyczajowi poluje w syngeltona, jak gdyby nie rad się dzielić zwierzyną z sąsiadem, nie ma się też czem chlubić wobec czytającej powszechności. Rumieniec wstydu oblewa starca oblicze, ale pocieszam się tem, że i w całym kraju nie lepiej, z małym wyjątkiem, bo nawet panowie delegaci milczą zawzięcie i nie zdają sprawy z stanu myśliwstwa w swoich powiatach. Ha! może na wzór dawnych czczych godności, obecnie utworzono urząd delegatów drążkowych.. *L.*

Przyjechawszy do domu z Kabarowiec od pana Bolesława Wierzchlejskiego, chwytam zaraz za pióro, ażeby podać do „Łowca“ o świetnym rezultacie polowania, jakie się tam odbyło w Sobotę 19. Grudnia, bo w dziesięć strzelb i pięć godzin w kniei czterystomorgowej, z której trzysta morgów tylko były branych, zabiliśmy 23 rogaczy, piszę literami dwadzieścia trzy, żeby nie wzięto tego za pomyłkę druku, przytem 23 zajęcy i lisa. Mioty po 40 morgów równo szerokiemi linjami poprzecinane, braliśmy po porządku jeden przy drugim. Polowanie prowadził doskonale sam gospodarz, nagonka zupełnie cicho goniła. Ja jak zwykle nie miałem spotkania, ale byli tacy, których bogini sobie wybrała, jeden z panów zabił sześć rogaczy, dając 2 dublety, dwaj inni zabili po cztery, gdzie jeszcze jeden dublet muszę zanotować. Takie rezultaty może mieć tylko dobry myśliwy, który nie tylko strzelać lubi, ale karmi i ochrania zwierzynę. Bóg Ci zapłać, serdecznie gościnny gospodarzu, za te najmilsze chwile spędzone tak w lesie, jak i w domu u Ciebie.

Stare Brody 21. Grudnia 1885.

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Pomorzany w Grudniu 1885.

Dnia 11. Grudnia b. r. w Pomorzanach, w majątku hrabiego Romana Potockiego, polowano w 5 strzelb od godziny 12tej w południe do 4tej, na przestrzeni 500 morgowej lasu. Ubito: zajęcy 17, lisów 4, rogaczy 3. Strzałów padło 41. Dodać należy, że w każdym miocie 3 stanowiska przez myśliwych nie były zastąpione. Stan zwierzyny w tutejszej okolicy pomału podnosić się zaczyna, ponieważ właściciel nie szczędzi kosztów, a oficyaliści i straż leśna dokładają starania w tępieniu szkodliwej zwierzyny, której wykaz z 2-ch lat dołącza się: wilk 1, psów 324, kotów 290, łasic 7, orłów 3, jastrzębi 76, krogulców 71, kruków 19, srók 767, srokaczy 11, za które wypłacono straży leśnej strzałowego 366 zł. 48 ct. *W. K.*

Wolica 21. Grudnia 1885.

Dnia 19. Grudnia odbyło się polowanie na polach państwa Kościelniki. Polowaliśmy w 7 strzelb przez kilka zaledwie godzin, a wymownym rezultatem starań właściciela hr. Romana Wodzickiego około podniesienia zwierzostanu, było na rozkładzie 45 zajęcy. Kuropatw nie wiele spotkaliśmy, ale biorąc na uwagę przeszło i tegoroczny wylew Wisły, którym część majątku została właśnie w porze lęgu nawidzoną, oraz granicę Król. Pol. stykającą się na całej długości państwa Kościelnickiego z polami tegoż, nie można się dziwić małej ilości kuropatw, bo co woda nie wytopiła, to wyłapali sidełkami na pasie granicznym objezdczycy. *Wł. Zaleski.*

Dnia 22. Grudnia polował hr. Roman Potocki w swych podlwowskich dobrach na drobnego zwierza. Wzięto 9 miotów i ubito w 9 strzelb: 7 lisów, 6 rogaczy i 56 zajęcy. Polowanie prowadził nadleśniczy Beer. Należy mu się całe uznanie za wzorowe, akuratne i szybkie prowadzenie wszelkich ewolucyi na dość trudnym terenie.

Redaktor: **Józef Łoziński.**

Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.